

Wł
45 Justyn = Strzyż *
Crodzlec,

W sybirskich tajgach

Powieść z życia skazańców

przez

Wł. Czaplickiego.



POZNAN.

Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego.

1915.

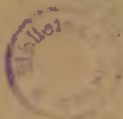
LPI 4C -

426072
I

K-49/2250 a

1.3

101



I.

Kaczetat, wioska sybirska wśród tajgi.

Mniej więcej o sto wiorst na północ za Aczyńskiem, tuż przy samym starym gościńcu, prowadzącym z Aczyńska do Jenisiejska, po dziś dzień ujrzyć można po lewej stronie cztery domy drewniane, dosyć dobrze zbudowane i wcale obszerne.

Te cztery domy nazwano wioską Kaczetat. — Mieszkańcy tej wioski zajmują się rybołówstwem, polowaniem, a po części także i rolnictwem. Zresztą sami wystarczają sobie we wszystkim i komunikują się ile możliwości jak najmniej z miastem, a nawet niewiele z sąsiednimi o 15 do 20 wiorst odległymi wioskami. Ale też i do nich bardzo tylko rzadko zajrzy ktoś z obcych, a nieraz całe przeminą dnie, zanim usłyszą turkot kibitki lub tętent konia odważnego jeźdźcy. Odważnego, bo tą drogą nie każdy odważy się jechać samotnie, a od niejakiemu czasu nawet inną do Jenisiejska obrano już drogę; ta bowiem z każdym dniem niebezpieczniejsza, na tej drodze coraz więcej mordowano podróżnych i przyszło do tego, że na liczne z tego powodu żałowania rząd gubernjalny uznał za stosowne — dla poczty, transportów, przesyłek, i kupców — inną, bezpieczniejszą, naznaczyć rutę.

Tą zaś drogą przeciągają na wiosnę tylko kompanje robotników do kopalń złota i późną jesienią z powrotem do domu, albo też w liczniejszym towarzystwie najbliżsi sąsiedzi przejeżdżają tędy z wioski do wioski w gościnę. Obcy jednak, a szczególnie samotny podróżny niechętnie obiera tę drogę, zwłaszcza jeżeli nie ma rewolweru lub innej dobrej broni palnej przy sobie.

Cały ten tak zwany stary gościniec, ciągnie się jednym, niekończącym się lasem, czyli — jak nazywają mieszkańcy — tajgą sybirską, której ostateczne krańce dalekiej, podbiegunowej i już bezludnej sięgają pustyni.

I Kaczetat zatem leży wśród lasu, wśród tajgi sybirskiej. Mała tylko przestrzeń naokoło domów i w pobliżu całego prawie gościńca оголоcona z drzew, bujną swą roślinnością każdego cudzoziemca w największe wprowadzała podziwienie. Tajga bowiem sybirska miejscami, a głównie przy samym gościńcu — to śliczny, cudnie piękny, ręką Stwórcy sadzony las!

Zielone sosny, świerki, smereki, cedry sybirskie, modrzewie, biała broza i olcha, harmonijnie pomieszane ze sobą, z prawdziwym wdziękiem od kwiecistych różnobarwnych odbijają łak. Lilje rozmaitych odcieni, tulipany, niezapominajki, bratki, laki pasowe, fijołki i inne woniące kwiaty, całemi, tuż przy drodze rozestlane łanami, mile bawią oko i tem miłej nasycają zmysł powonienia.

A niebo? Niebo tam tak czyste i bez chmurki na szafirowem, prawdziwie szafirowem swem tle, a upały wśród lata tak wielkie, iż podróżny zapomina

zupełnie, iż znajduje się w Syberji. Komary tylke i sybirska „moszka“ (moskitosy) dokuczają niesłychanie, o smutnej przekonywują rzeczywistości i tak podróżnego jak niemniej wszystkich mieszkańców zmuszają wśród tych strasznych skwarów dnem i nocą pod włosienną dusić się siatką, bez której nikt nie wyruszy z domu.

Tuż na samym końcu wspomnianej wioski niewielka, lecz o wysokich brzegach, tegoż jak włoska nazwiska, płynie rzeczulka; — przerzyna gościniec i — poza domami Kaczetatu do wspaniałego wpada Czulymu.

Wszystkie tej wioski domy zbudowane rzędem jeden obok drugiego i — jak powiedziano zaraz na wstępie — przy samym gościńcu.

Każdy dom lewem skrzydłem zwrócony do gościńca a frontem do wnętrza zasłoniętego wielką, pięknie rzeźbioną i żółtymi gwoździami wybijaną bramą, tudzież wysokim parkanem.

W każdym z tych domów widać dość duże dwa okna o grubych, na zielono malowanych okiennicach z żelaznemi sztaby i takiemiz „bołtami“, które przy zamknięciu okiennicy wsuwają się aż do wnętrza pekoju i żelaznemi zakładają hakami.

Okiennice tego rodzaju są w Syberji jednym z głównych warunków bezpieczeństwa życia i własności.

Małą, zgrabną, tuż obok bramy znajdującą się furtką wejdzmy na podwórze jednego z tych domów, a mianowicie do ostatniego przy samym moście rzeczulki.

Minawszy furtkę, widać czysto utrzymane, ob-

szerne podwórze. Po lewej stronie zamiast stajni, cztery słupy wysokie z czterema na nich belkami, które pokryte gęstym żerdek szeregiem, tworzą rodzaj dachu.

To jedyne wśród deszczu, śniegu i mrozu dla sybirskich koni i trzody schronienie. Pod tym dachem stoją także kłbitki, pługi brony. Po tejże samej stronie w końcu podwórza budynek niewielki i grubych drzwi dwoje na zamek i kłódki.

To skład na zboże i inne zapasy żywności, tudzież lodownia, niezbędna w każdym Sybiraka domu.

Na prost furtki w głębi podwórza, w parkanie wysokim widać drugą, małą furteczkę otwartą, z poza której w znacznej odległości lśniąca Czułymu połyskują wody, a za Czułymem ciemny zieleni się las.

Po prawej tejże furtki stronie, sterczy z po za parkanu czarny, okopcony komin.

To łaźnia parowa, jedyne na każdą słabość Sybiraka lekarstwo. Na prawo widać cały front domu zbudowanego podłużnie i cztery okna we froncie także z okiennicami opisanemi powyżej. W pośrodku domu kilka wschodków do drzwi ganku krytego z wszech stron i prowadzącego do czystej sieni, wysłanej kolerowem płótnem. Na lewo dwa małe pokoje i kuchnia.

To gospodarza z liczną rodziną własne mieszkanie.

Na prawo mała kuchenka i obszerny pokój zwany po sybirsku „gornicą.“ Pokój ten mimo całej skromności, zaraz na pierwszy rzut oka uderzał swoją czystością i gustownem urządzeniem. Ściany po-

koju czyste i lśniąco znaną sybirskiego wapna białością. Prócz tego całe ściany, jak niemniej okna w piękne girlandy zielonym ubrane powojem, bardzo miłe sprawiały wrażenie. Posadzka sybirskim zwyczajem lakierowana na żółto, a drewniane sprzęty wszystkie kraszone brunatno.

Naprost drzwi — pomiędzy oknami wychodzącymi na gościniec — niewielka kanapka drewniana, sybirskim pokryta dywanem; nad kanapką na ścianie małe zwierciadło w czarne eprawione ramy, przed kanapą okrągły stolik, biała, cienką nakryty serwetą, w około stołu kilka krzesełek, a na środku stolika w czerwonej szklance gustowna, polnych kwiatów równianka. Po lewej i prawej okien stronie dwa skromne łóżeczka białymi pokryte kapami, nad jednym łóżkiem wizerunek Matki Boskiej częstochowskiej, nad drugim milatyński Pan Jezus, na prawo zaś pomiędzy oknami wychodzącymi na podwórze, skromna średniej wielkości szafka, a przy drzwiach na ogromnej, niekraszonej, raczej do szafarni podobnej komodzie, lśniący samowar, rozmaite herbaciane przybory, nareszcie półmisek i kilka talerzy. Przy drzwiach na lewo zgrabny plecyk kaflowy z mosiężnymi drzwiczkami, obok pieca czarna na żółto okuta wiliza i wielki tłumok podróżny.

Oto wszystkie skromnego pokoju meble i sprzęty.

II.

Ze życia Polek na posileniu.

W opisanym powyżej pokoju siedziała na kanapie średniego wieku kobieta. Czarna suknia z biał-

łym u dołu szlakiem, owem znamieniem żałoby, w stosownej była harmonji ze smętnym wyrazem rozlanym na bladej jej twarzy. Z pod czarnego na głowie ubrania gęste, czarnych włosów pukle swoją widocznie zewczesną uderzały siwizną; czoło wysokie i gładkie. Oczy czarne, wielkie, łagodnego a oraz smętnego wyrazu: niewielkie, choć pełne usta kształtne, lekko przymknięte, owal twarzy miły, cała postać z wyraźnym śladem snuć nieoddawna niknącego wdzięku, ujmująca i pociągająca, a zarazem wzbudzająca uszanowanie.

W rękę trzymała właśnie co ukończoną, wielką, szydełkowej roboty siatkę białą, której z pilną przypatrywała się uwagę.

Po prawej stronie, na krzesełku pod oknem, młoda, także czarno ubrana siedziała panienska. Przy stojna, również brunetka, a z rysów twarzy podobna bardzo do opisanej dopiero matrony. Różniły ją tylko: świeżość, młodość i wdzięk właściwy młodości. Jeden rzut oka był dostateczny do osądzenia, że to matka i córka.

Były to rzeczywiście pani H. i jej córka Jadwiga.

Pani H. od trzech przeszło lat była już wdową. Mąż jej na Litwie niewielki posiadał majątek. W ostatniem powstaniu (1863 r.) bardzo był czynnym, on bowiem do obozów dostarczał żywności dla ludzi i koni, on często z własnej kieszeni powstańcze oddziały zasilał w pieniądze, on licznych do obozu dostawiał ochotników, on wiedząc o każdym ruchu Moskali, najdokładniejsze naczelnikom powstania skła-

dał w tym względzie raporta i on nareszcie w petyczkach nieraz osobiście brał udział.

Pewnego dnia, zaledwie z ważnemi depeszami konno wyruszył z domu do obozu, spotkał się niespodzianie z całym hucem kozaków. Począł umykać — w ucieczce dał na kawałki wszystkie papiery i niernacznie rzucał między krzaki. Chcąc zmylić pogoń kozaków, a przynajmniej zasłonić się od strzałów, zwrócił się w dobrze znany mu las. Na nieszczęście poślizgnął się koń, upadł — i swoim ciężarem przywalił nogę pana H.

Zanim pan H. zdołał dźwignąć się z ziemi, dopadli kozacy i — jak to czynili zwyczajnie — zamordowali na miejscu.

Z papierów znalezionych w krzakach dowiedzieli się Moskale, że w domu zamordowanego znajduje się jeszcze kilkadziesiąt sztuk broni. Otoczono więc dwór, znaleziono broń, kozactwo swoim zwyczajem rzuciło się do rabunku i co nie mogli zabrać lub wprowadzić ze sobą zniszczyli płomieniem. Na domiar całego nieszczęścia przyaresztowane wdowę, cały majątek zabrano na skarb, a nadto ją samą skazano w Sybir na posłenie.

Córka towarzyszyła jej na miejsce wygnania. Krewni i sąsiedzi pani H. jeżeli niewymordowani, to przyaresztowani i wysłani w Sybir, nie mogli pomocy podać jej ręki, a szczupłe fundusze, jakie zdołała ocalić, wyczerpały się już w podróży. Przeznaczona do lichej, z czterech domów składającej się wioski, nie mogąc do żadnej innej chwycić się pracy, ograniczała się z córką na robieniu siatek i haftów, które wysyłając do miasta po tak niskiej poz-

bywała cenie, że ten z tylu trudnościami i kosztem zdrowia własnego zdobywany zarobek nie wystarczał nawet na skromne utrzymanie życia.

~~Wszak~~ Smutny to los naszych nieszczęśliwych Polek skazanych na posłenie! Jeżeli szczęśliwem losu zrządzeniem do większego dostaną się miasta, to jeszcze pół biedy — tam bowiem przecież i łatwiej o sposób do pracy i — wobec tylu naszych skazańców — o dobór towarzystwa nie trudno i czy to w słabości, czy w jakim innem nieszczęściu niepodobna na brak szczerego narzekać współczucia; wszak Polak w nieszczęściu bieży tak chętnie, tak serdecznie z podaniem bratniej pomocy.

Biada jednak tym Polkom, które nieszczęsny los rzucił gdzieś na wieś, w dalekie od miasta strony! Wszak to i w mieście bezpieczeństwa nie wiele, wszak to po większych miastach Syberji, jak np. w Jenisiejsku, Krasnojarsku, Kańsku i innych miastach, czyż znajdzie kto, chociażby jeden dzień w roku, ażeby rano, gdy mieszkańcy eckną się ze snu, nie znalezione kilka ciał ludzi odartych do naga, zamordowanych wśród nocy? A cóż dopiero na wsi, gdzie niema nawet tej pezernej władzy bezpieczeństwa?

Tam — na wsi — zaprawdę, tylko Polacy tyle posiadają odwagi i szczęścia, że, czy to we dnie czy w nocy, bezpiecznie po pustych chodzą ulicach, a nawet w odleglejsze zapuszczają się strony. Ależ Polki nasze, bezsilne kobiety, te nawet dniem zaledwie na tyle zdobędą się mężstwa, ażeby pójść na przechadzkę o kilkaset kroków od domu.

Jeżeli nawet mieszkańcy Syberji w ogóle z u-

przedzającą dla nich zachowują się grzecznością, mimo to poza ogrodzeniem wiejskiem zwanem „poskotiną“, żadnego dla kobiet niema niebezpieczeństwa. Pomijając nawet dzikiego zwierz, niepodobna nie obawiać się licznych grup waleśających się po całej Syberji rozmaitych zbrodniarzy, zbiegłych od robót katorżnich, albo uciekających przed ścigającą ich za jakąś zbrodnię pogonią. Gdy jeszcze na większą natrafią wioskę, choć to w Syberji, można tam znaleźć serce pocziwe i nieraz doznać dowodów pewnego współczucia, które swoją prostotą pociąga do siebie. Widać tam zresztą przynajmniej ruch jakiś, życie, ludzi zajętych pracą albo zabawą. Przecież tam można znaleźć istotę, z którą czasami pogwarzy się chętnie i tym sposobem przynajmniej na chwilę czarne odpędzi myśli i zapomni o swelch, o swojej przeszłości, o kraju, za którym tęskni się tak bardzo, tak mocno i o swej biedzie. A nieraz wieczorem, gdy w smętnej zadumie belesne, lub drogie wspomnienie wydobędzie łzę z oka, łzę żalu albo boleści, gdy duszno w piersi, a żar pali czoło, a serce i dusza i myśl cała gdzieś na daleki rodzinnych stron przenosząc się zachód, malują żywo w bujnej wyobraźni i dom rodzinny i rodzinę całą i wszystkich i wszystko, co miłe i lubie i drogie i święte, a całą istotę głęboki ogarnia smutek i czarna rozpacz wszelką wydzierając nadzieję — o! z jakąż, z jakąż rezkoszą wita się wówczas towarzysza niedoli i wygnania, posielenca Polaka, który po ciężkiej pracy przeskokczył gościnnie swoich zacnych towarzyszek progi, ażeby odwiedzić je, pocieszyć, wypytać o wszelkie możebne potrzeby i — ofiarować swoje usługi?

O! jakaż to wówczas szczerą, serdeczną gościnność! Dzielne, behaterskie, a zarazem nieszczęśliwe Polki nasze, swoją delikatną, niegdyś pieszczoną rączką drobną, tak szczerze ściskają czarną i szorstką przybyłego gościa dłoń, tak radośnie witają przybyłego rodaka, że nie widzą, ani widzieć nie chcą wytartej jego siemni albo grubej świtki. Z gościnnością uprzejmą wskazują mu krzesło i jakkolwiek niegdyś tylko do wonnych przyzwyczajone kadzideł, chętnie same podają, papieros albo cygaro, przyjmują tak bardzo w Syberji pożądaną herbatą i po chwili niedługo z tokiem żwawej pogadanki i w miarę wykształcenia przybyłego rodaka, wypogadza się biednych Polek naszych oblicze, oczy jaśniejszym zalaniem im blaskiem, jakaś nadzieja wstępuje w ich dusze, a czasem i uśmiech wesół zawita na usta.

Każda wiadomość, najdrobniejsza nowinka zajmuje tak mocno, tak żywo, a każdy najmniejszy wypadek, w olbrzymich maluje się rozmiarach i wielkiej nabiera wagi, wielkiego znaczenia. Książki, stare dzienniki i listy otrzymane z kraju, przechodząc z rąk do rąk towarzyszków i towarzyszek, odległe nawet obiegają wioski i miasta.

Syberja wielka — i szeroka i długa i komunikacja bardzo utrudniona, a jednak prawie wszyscy znają się dobrze; życie i przeszłość każdego znane wzajemnie, jakby do dłoni. Brak książek, zajęcia i pracy do częstych zmusza pogadanek. Jeden opowiada o drugim i — znają się wszyscy.

Czasami trójka dzielnych rumaków zatrzyma się przed domem i oto posilenicy Polacy, z sąsiedniej albo dalszej wioski przybyli w gościnę.

Cóż to za radość? Jakaż to chwila wesoła? Jakież serdeczne przyjęcie?

Pomimo całego nieszczęścia, pomimo wielkich o chleb powszechni kłopotów, nieraz liczniejsze odbywają się zjazdy, a Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone świątki, imieniny, tudzież Narodowe święta obchodzą wygnańcy dosyć ureczyście i rozmaicie: to smutno i ciężko, to wesoło i lekko, zawsze jednak powoli — bardzo powoli płyną godziny i dnie miesiące i lata!

Gdy jednak ktokolwiek, jak np. pani H. w odległe od miasta, a nawet w odległe od większych wiosek dostanie się miejsce, w głąb tajgi, o! ten bardzo czuje się samotnym, bardzo nieszczęśliwym! Temu wszelka tego rodzaju odjęta przyjemność. Sam wśród ebcych nieprzychylnych ludzi, na wrogie tylko spogląda twarze, brak mu wszelkiego zajęcia, brak towarzystwa, brak ludzi, brak wszelkiej rozrywki! Oddany sam sobie i myśli swojej, prędko traci nadzieję; samotność bowiem oddziaływa groźnie, tłumi wiarę w samego siebie i — odbiera odwagę. Wszak i duch, choć silny, chociaż potężny, potrzebuje pokarmu. Jeśli nawet długo zdoła wystarczyć sam sobie, zawsze jednak pierwszej czy później — strawi zasoby własnego żywiołu i uczuje próżnię, która coraz więcej w moralną przetwarzając się słabość, niszczy i fizyczne siły i zabija powoli!

To też i pani H. wkrótce po swoim przybyciu do wsi Kaczetatu, nieosuszywszy jeszcze łez po stracie swojego męża, nie oswoiwszy się jeszcze z całą wielkością swojego nieszczęścia — w taką prawie

bezludną rzuconą pustynię, więcej i głębiej może od innych uczuła swoje i towarzyszące jej córki smutne położenie. Coraz więcej bolała za mężem, coraz więcej tęskniła za krajem, a niepokój o los jedynej córki i troski o życie, łamały siły jej ducha. A że z natury delikatna, nerwowa, przyjmująca wszystkie wrażenia silnie i głęboko — nie mogła więc poniesionych klęsk nieprzyplacić swem zdrowiem.

Biedna Jadwiga widziała i czuła boleść swej matki, pomimo, że ta zacna matrona wszystkie uczucia te, usiłowała ukryć przed nią starannie. Jadwiga pracowała pilnie, pamiętała o wszystkich potrzebach i możliwych matki wygodach i rozrywała i rozweselała ją w miarę swych sił. Te usiłowania jednak pożądanego nie odniosły skutku. Matka Jadwigi widocznie z dniem każdym coraz więcej zapadała na zdrowiu, mimo wewnętrznej jednak walki, ażeby ukryć i smutek i boleść, tudzież żal głęboki i szybko stopniujący upadek jej sił, wkrótce dostrzegła Jadwiga, że nieszczęśliwa matka z trudnością tylko trzyma się na nogach i już nie może przechodzić się nawet po pokoju.

W kilka dni później mocna gorączka powaliła panią H. na łożo boleści. Jadwiga nie tracąc przytomności, troskliwie pielęgnowała matkę i znanemi jej domowemi leczyła środkami.

Niestety! Na chorobę duszy — aleopatja żadnego nie zna lekarstwa!

Stan zdrowia pani H. pogarszał się ciągle, często mówiła z gorączki, często zupełnie traciła przytomność.

Jadwiga poczęła tracić nadzieję i odwagę. Zne-
kana bezsennością, utrudzeniem i boleścią, stanęła
przy łożu matki, załamała ręce i załżała się łzami.

Matka spoglądając na nią z politowaniem,
ujęła jej rękę i słabym do niej mówiła głosem:
„Córko, moja córko! dziecię moje łube, jedyne! Da-
ruj, przebacź twojej matce, że w swojej boleści o naj-
świętszym zapomniała obowiązku, o powinności utrzy-
mania życia swego dla ciebie! Zostawiam cię samą
— w dzielnym kraju, wśród sybirskich lasów i wśród
obcych ludzi! Samą, bez opieki, bez przyszłości i bez
nadziei! Jeżeli, jeżeli — urywanym kończyła gło-
sem — jeżeli umrę, w grobie nie będę miała spo-
czynku.

Wśród tych Jadwigę tak bardzo przerażających
słów, łza po łzie spływała z lekko przymkniętych
ócz przytomnej wówczas matki i drżały moralną bo-
leścią wykrzywione usta — i pierś, jakby pod łka-
niem tłumionem, to wznosiła się mocne, to upadała
na przemian, — ręka jej, jakby konwulsyjnie ści-
skała rękę Jadwigi.

— Matko, matko! — w rozpaczny błędny zawo-
łała Jadwiga i to łkając, to zanosząc się od płaczu,
to całując i ściskając rękę drogiej rodzicielki, doda-
ła pełnym, ufności pełnym głosem:

— Ty nie umrzesz! Ja nie chcę, ażebyś umar-
ła! Ja nie dam ci umrzeć! Ja, ja — kończyła Ja-
dwiga zatapiając wzrok swój w wiszący na ścianie
wizerunek pana Jezusa — ja Boga, ja tego zbawcę
ludzkiego wezwę o pomoc.

I po tych słowach padła na kolana, wzniosła
ręce do góry, swe wielkie, czarne, silną wiarą i ufno-

ścią rozpromienione oczy w święty utkwiała obraz i całą siłą swojego głosu z niewysłowioną zawołała boleścią:

— Panie, panie! Nie zostawiaj mnie samą! Ocal mi matkę! Zlituj się nad nią! Zlituj się nademną!

III.

Przybycie towarzysza.

W chwili kiedy Jadwiga z taką boleścią ostatnie kończyła wyrazy, zcicha rozwarły się drzwi i jakiś młody, przystojny mężczyzna ukazał się na progu.

Jadwiga powstała szybko, otarła łzy, a wskazując ręką na łóżko matki, na palcach postąpiła bliżej ku niemu.

Oryginalny strój, jak niemnej cała postać nowego a niespodziewanego przybysza jakiś dziwny na biedną Jadwigę wywarły wpływ i jakaś niepojęta, niewytłumaczona wstąpiła w jej duszę nadzieja.

Przybysz nowy było mężczyzna w wieku 25—26 lat, wzrostu cokolwiek więcej jak miernego i silnie zbudowany. Włos jego ciemny, krótko strzyżony, nie zasłaniał pięknego wysokiego czoła. Dwie lekkie zmarszczki pomiędzy kształtnie zaokrąglonemi brwiami, tudzież usta — acz pełne i ładne — w miarę przymknięte, o męskiej świadczyły woli, a piękne, łagodnego wyrazu oko, długą ozdobione rzęsą, zatrzymujące się badawczo na jednym i tym samym przedmiocie, było głębszej myśli i rozwagi dowodem; mały ciemny wąsik i także broda niewielkim

zasiewała się puchem. Cała postać ujęta w obcisły oficerski uniform z austriackiego pułku niebieskich huzarów, przy twarzy pełnej szlachetnego wyrazu bardzo przyciągała do siebie.

Był to Lucjan P., przed powstaniem rzeczywiście oficer austriacki; w roku 1863 jednak wstąpił w szeregi powstańcze, gdzie w wielu bitwach dowodząc szwadronem ułanów, obok miana „waleczny“ zjednał sobie miłość i przywiązanie podwładnych, oraz poważanie przełożonych swoich.

Ranny dostał się do niewoli moskiewskiej i razem z wielu innymi wysłano go w Sybir.

Rodzice Lucjana, jakkolwiek znaczniejszy dzierżawili majątek, nie mogli dostatecznych przysyłać mu zasiłków; liczne bowiem rodzeństwo wielkich wymagało wydatków. Lucjan zresztą — nigdy nie żądał pieniędzy.

Przybywszy na Sybir, przeznaczony do Aczyńska, zasiadł zaraz do pracy, a wyrabiając papierosy, miał z tego skromne wprowadzile, ale destateczne utrzymanie, często nawet niejednego z biednych kolegów przytulił do siebie.

Skromny, cichy, z towarzyszymi wygnania żył w zgodzie i to jednało mu przywiązanie, a surowość jego obyczajów poważanie kolegów.

Wychodząc z zasady „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“, zawsze stawał w obronie pokrzywdzonych kolegów i z tego powodu częste z moskiewskimi władzami miewał zatargi. Dla sprawnika i innych czynowników moskiewskich był on, jak to mówią, prawdziwą solą w oku; głównie zaś

dlatego, że nie pozwolił obdzierać swoich towarzyszków.

Samodzielny sprawnik, rozrządzający niemal życiem i śmiercią wszystkich w jego okręgu zostających Polaków posieleńców, chcąc pozbyć się tej żyjącej przeszkody w obdzieraniu nieszczęśliwych, pod pozorem nieposłuszeństwa dla władzy wysłał Lucjana na północ okręgu aczyńskiego i opisaną wyżej włoską Kaczetat na jego przeznaczył mieszkanie.

Jak powiedzieliśmy powyżej, wszyscy w Syberji znajdujący się Polacy znają się wzajemnie; Lucjan więc jeszcze w Aczyńsku o pani H. i jej córce nasłuchiwał się niemało i pragnął gorąco poznać je bliżej. Zaraz po swoim przybyciu do Kaczetatu dowiedziawszy się o całej okropności ich położenia, pospieszył do nich z chęcią niesienia im pomocy i słowem i czynem.

— Jestem Lucjan P. — rzekł z cicha nowo przybyły do postępującej ku niemu Jadwigi i dodał — mnie przeznaczono także do Kaczetatu. Już w drodze miałem zamiar złożyć paniom moje uszanowanie; dowiedziawszy się jednak zaraz na wstępie o chorobie mamy dobrodziejki, odkładałam wizytę na później, a przychodzę jedynie w tym celu, aby być użytecznym i jako towarzysz oddać się w tym względzie na usługi pani.

— Ach! — nieco rumieniąc się, szepnęła Jadwiga. — Pan Lucjan?... O, bardzo mi miło powitać pana w naszej pustyni, w odludnych tajgach!... Ks. kanonik Kr., którego z sąsiedniej nam wioski Jełówki zaledwie przed paru miesiącami razem z in-

nymi kapłanami naszymi popędzono gdzieś tam daleko, do Tunki... tyle, tyle mówił nam o panu!

Przerwała na chwilę a piękne swe czarne oczy spuściła na dół i jeszcze więcej zapłonęły jej lica.

— Zaprawdę — po niejakej odezwała się przerwie — ja w moim smutku tak ciężkim zapomniałam nawet prosić pana bliżej... Niech pan siada, proszę pana! — i wskazała mu krzesło.

— Ależ pani! — przerwał jej Lucjan z całą szczerością, a zarazem miłą, tak bardzo pociągającą uprzejmością. — Częste oglądanie się na łóżę mamy, tudzież niepokój na twarzy pani upoważniają mnie do prośby, abyś pani raczyła postępować ze mną jak z towarzyszem, umiejącym obowiązek swój spełniać. Zanim usiądę, pozwoli pani zapytać się: Jak długo mama cheruje i kto ją leczy?

— Mama — rzekła Jadwiga — mama już od dawna coraz więcej zapadała na zdrowiu, położyła się jednak dopiero od dni kilku; ale — dodała ze łzami — gorączka wzmaga się bardzo szybko i gdy tak bardzo jesteśmy oderwani od ludzi, gdy od reszty żyjącego świata, a przynajmniej, ce najważniejsza, od Aczyńska tak daleka przedziela nas przestrzeń; więc w braku lekarza ja tylko sama mamę domowemi leczę środkami. Te jednak niestety nie tylko wcale nie pomagają, lecz przeciwnie mamie coraz gorzej i gorzej.

Biedne dziewczę, wyciągnawszy białą chusteczkę z kieszeni, przytuliło ją do oczu, a Lucjan ciche, tłumione posłyszał łkanie.

Snać i pani H. posłyszała je także, bo niespokojnie obróciła się na łóżku, skierowała wzrok swój

na córkę i na Lucjana i słabym ozwała się głosem:

— Jadziu! Jadziu! czego ty płaczesz? Twój płacz dobija mię! Kto to tam przyszedł? Co to takiego?

— Nic, nic, droga mamol — urywanym wśród łkania głosem odezwała się Jadwisia i ocierając łzy i siłąc się do ich powstrzymania, szybkimi krokami zbliżyła się do matki. — Te — dodała — pan Lucjan P., terazniejszy towarzysz nasz.

Ale pani H. jakby już zapomniała własnego pytania, obojętnie popatrzyła na córkę i nic nie odpowiadawszy przytknęła powieki.

Jadwiga na palcach znowu oddaliła się od łóża.

— Pani! — cichym szeptem rzekł do Jadwigi wzruszony Lucjan — tu nie czas płakać ani rozpłacać, tu trzeba ratować! Uspokój się pani! Ufa pani towarzyszowi swojemu! Ja nie zaśpię sprawy zanim znów wrócę na usługi pani, wyjdę na chwilę ażeby natychmiast po dobrego posłać lekarza. Uspokój się pani! Proszę pamiętać, że w każdym nie szczęściu najlepszym Bóg opiekunem!

Po tych wyrazach skłonił się Lucjan uprzejmie i zanim Jadwiga zdołała odpowiedzieć dziękczynnem słowy, Lucjan odwrócił się nagle i szybko choć cicho wymknął się z domu.

— O Panie! Panie! — po wyjściu Lucjana modliła się Jadwiga — czyż wystuchałeś mojej modlitwy? Czyż w jego osobie przysłałeś nam zbawcę? O dzięki, dzięki ci Panie!

Jadwiga nie omyliła się, Lucjan bowiem posłał natychmiast do Aczyńskiego po znakomitego lekarza, także Polaka-posielańca pana B., który przybywszy

zaraz nazajutrz do Kaczetatu, przywiezionemi z sobą lekarskiemi środkami wkrótce uśmierzył gorączkę i o tyle przyprowadził do zdrowia, że po jego odjeździe Lucjanowi pozostawało tylko dźwignąć upadłego jej ducha, by z wracającym zdrowiem mogła i dawne odzyskać siły.

Jakkolwiek Lucjan wkrótce po swoim przybyciu do Kaczetatu wziął się do pracy — i to rybołówstwem, to polowaniem, to innemi prawemi sposobami zarabiał na kawałek chleba, mimo tego dosyć pozostawało mu czasu, by pewną część dnia każdego, a przynajmniej wieczór nieszczęśliwym poświęcić towarzyszkom. Często Lucjana odwiedziły, jego tak zręcznie rzucane słowa pociechy, jego szczere, serdeczne z niemi postępowanie, jego usposobienie wesołe i jego opowiadania wpłynęły bardzo korzystnie nie tylko na stan zdrowia pani H., ale oraz na zupełne uspokojenie Jadwigi.

W Syberji, a przynajmniej w tej części Syberji, gdzie znane czytelnikom znajdowały się Polki nasze i Lucjan, jak wogóle we wszystkich tajgach sybirskich lato bywa niemal przykreszające jak zima. W zimie bowiem wobec dobrych pieców sybirskich, można w mieszkaniu wygodnie i przyjemnie przepędzić dzień, a w ciepłych futrach sybirskich bezpiecznie wyjść na przechadzkę i użyć świeżego, czystego powietrza, bez obawy zaziębienia lub odmrożenia twarzy, rąk albo nóg. Nadzwyczajna bowiem cisza i suchość powietrza niesłychanie ostry łagodzą klimat i pomimo 40 albo 45 stopni Reaum, czynią go o wiele znośniejszym, jak nasze wilgotne zimna

wobec kilku tylko stopni mrozu, a przy lekkim wietrze.

Lato jednak wobec nużących, duszących upałów, wobec niezliczonych milionów rozmaitych krwiopijczych owadów jest tak nieznosne, że odejmuje nie tylko chęć do pracy i do jedzenia, do przechadzki i wszelkiej rozrywki, ale nadto mieszkańcy tych leśnistych stron skazani są niejako na straszne męki ciągłej prawie i ubezwładniającej bezsenności, wpływającej na stan zdrowia bardzo szkodliwie. Dniem przeważnie moskitosów miliony i tem gorsza „mokryca“*) wleiskają się wszędzie i niewidzialnymi, pełnymi jadu żadełkami szpilują ciało, a od wieczora do rana gęste, jakby z pożaru aż ciemne chmury komarów za każdym drzwi uchYLENIEM wpadają do wnętrza mieszkania i z żarłoczną chciwością rzucają się na swe ofiary. Jakkolwiek pozamykane okna i drzwi; jakkolwiek wszystkie otwory i szpary zatkane starannie, jakkolwiek od rana do nocy, a od nocy do rana dusi mieszkańców nieprzerwanie podtrzymywany w pokoju dym, jakkolwiek dnem i nocą nikt nie zdejmuje ni rękawiczek, ni siatki włosienniej, mimo tego niepodobna uchronić się od jadowitego tych owadów żądła i całe ciało wśród lata nieustannie bywa licznymi okryte bąblami.

Wobec takich warunków, każda, choćby najkrótsza przechadzka, jest tak przykra, że mimo naj-

*) Mokryea jest to jeszcze mniejsza muszka, jak moskitos, biała, przezroczysta, ledwie okiem dojrzana i jeszcze więcej jadowita. Pojawia się podczas mokrych lat, ztąd też ma nazwisko.

cudniejszych okolic, nikt nawet ani marzył o niej, a jednak była ona dla utrzymania zdrowia niezbędnie potrzebną. Lucjan, który u naszych Polek stał się wkrótce codziennym gościem, czując to zbyt dobrze, pod rozmaitemi pozory nakłaniał je często do wyjścia, ażeby potem zajmując ich umysł i serce opowiadaniem rozmaitych faktów ciekawych, niby bezwiednie wyprowadzić je dalej i jeszcze dalej.

Obok przechadzek, które na miłej i wesołej mijały pogadance, Lucjan rozmaitemi sposoby starał się usilnie rozrywać panią H. i po kilku tygodniach powiodło mu się nareszcie, przynajmniej poczęści przytłumić w sercu pani H. głęboki żal po stracie jej męża, ukołóć wszelką moralną jej boleść, rozwiać smutek z jej czoła, tęsknotę za krajem zamienić w rezygnację, a czasem i uśmiech nawet wesoły wywołać na usta.

Lucjan całą duszą i całym sercem zajął się ulżeniem losu nieszczęśliwych swoich towarzyszek. Nie mogąc patrzeć obojętnie na ich mozolną a tak niewdzięczną pracę, nie mogąc patrzeć obojętnie, jak po całych niemal dniach i nocach ślęczą nad siatkami lub haftem, pod pozorem przynależnego a niewypłaconego im wsparcia rządowego, z swoich, tak ciężką pracą zdobywanych funduszków, wypłacał im na ręce wiejskiego starszyny po 6, zatem na obydwie 12 rubli śr. miesięcznie i cieszył się niewypowiedzianie i czuł się bardzo szczęśliwym, gdy znaczne jego towarzyszeki przyjmując tę kwotę w dobrej wierze, że pochodzi z kasy moskiewskiego rządu, udzieliły mu tej wiadomości z niezwykłą u nich radością, a więcej jeszcze ucieszył się tem, gdy oznajmiły mu,

że odtąd postanowiły zmiejszyć znacznie liczbę godzin do pracy, a za to więcej korzystać z dobrodziejstw ksiązek, których Lucjan, przy usilnych swoich staraniach dostarczał im często.

■ ■ Przy pracy, na przechadzkach, na pogadance i na czytaniu ksiązek powoli, a jednak prędzej niż poprzed, upływały im dnie, tygodnie, a nawet miesiące i minął nareszcie rok cały.

Położenie pani H. zmieniło się nie do poznania. Przyszła ona zupełnie do zdrowia, odzyskała swe siły, a nawet poczęła się oswajać z swoim nie-szczęściem i godzić z losem, jaki dla niej i córki przeznaczyła opatrzność. Lucjan, ich nieodstępny po pracy towarzyszyasz, był jej wielką podporą, wielką pociechą. Jego wykształcenie umysłu i serca, jego miły, wesoły humor, szlachetny sposób myślenia, niezmordowana pracowitość i w ogóle całe jego postępowanie jednały mu coraz większe względy tej zacnej matrony, aż nareszcie jak własnego ukochała go syna.

— A Jadwiga? — Jadwiga poglądała na niego, jak na zbawcę swego, który ocalił jej matkę, który ją od srogiego sieroty ocalił losu. Nieskazitelnosc i sila jego charakteru wzbudzały w niej część jakąś, a cała postać jego tak mężka, wywierala na nią niewytłumaczony wpływ, wzniecala w jej sercu uczucie, którego opanować nie miała odwagi. Głos, dźwięk jego mowy spływał do serca, do duszy, a miły, łagodny jego wzrok tonął gdzieś daleko w jej głębi. To też chciwie chwytala każde jego spojrzenie, każde słowo jego, a każdy wyraz na twarzy ba-

dała dokładnie i starała się usilnie odgadnąć spojrzenia i słowa i wyrazu znaczenie.

Gdy Lucjan wszedł do pokoju, Jadwiga była wesółą; gdy odszedł, jakiś ciężki w jej sercu wdzierał się smutek. Ale bo też i Lucjan zmienił się jakoś. Nieraz, gdy przyszedł do pracy, ucałowawszy rękę pani H., powitawszy Jadwigę silniejszym niż zwykle uściśnięciem dłoni, usiadł, długo, prawie nieruchomy patrzył w jej twarz, w jej piękne oczy czarne, milczał, potem opuszczał wzrok, zamyślał się, nareszcie smutniał widocznie, nakoniec westchnął głęboko, żegnał się spiesznie i wychodził z pokoju.

Matka Jadwigi odgadywała znaczenie tej zmiany i w duszy cieszyła się tą zmianą.

— Jadziu, moja Jadziu — mówiła pani H. nieraz do swej córki — dobry to chłopak ten Lucjan, lubię go bardzo, pragnęłabym, pragnęłabym — dodawała z namysłem — ażeby był bardzo szczęśliwy!..

Jadwiga kraśniała na licu, odpowiadała milczeniem, ale po chwili chętnie o nim sama wszczyniała rozmowę i z widoczną słuchała radością, gdy chwaliła go matka.

Gdy zbliżała się pora obiadu, albo wieczornej herbaty, spostrzegała pani H. że Jadwiga częściej niż zwykle zagląda do okna, a gdy nie widać Lucjana, Jadwiga z wyraźnym niepokojem chodzi z miejsca nu miejsce, nie może dać sobie rady i powtarza częste:

— Gdzież on siedzi tak długo? — albo: — Jestem tak godna, a tu pana Lucjana jak niema, tak niema!..

A jeśli Lucjan idąc na polowanie albo na połów, przychodził żegnać się z swojemi towarzyszami, żegnała go Jadwiga tak serdecznie i z takim smutkiem na twarzy, że Lucjan odwzajemniając się serdecznym jej rączki pocałunkiem, odchodził z żalem, a nawet rozczulony dobrocią jej serca, z łzującą łzą w oku.

Po powrocie witał go wesół, radosny uśmiech Jadwigi i miłe, lubo jej szczebiotanie. Gdy połów powiódł się dobrze, Jadwiga nie ukrywała swojej uciechy, jeżeli zaś wpadł niepomysłnie, żałowała go szczerze, otwarcie i narzekała na niewdzięczne z tyłu niebezpieczeństwa połączone trudy i smuciła się więcej jak on.

Pewnego wieczora oznajmił Lucjan, że nazajutrz na kilkudniowy połów wybiera się do odległych bereluskich jezior. Ta wiadomość dziwny jakiś na Jadwigę wywarła wpływ, nagle bowiem posmutniała, stała się milczącą i zamyśloną. Spozrzegł to Lucjan, posmutniał także i jak ona, zamyślił się i umilkł.

— Cóż to — z lekkim na ustach uśmiechem zapytała pani H. — coś to, dlaczegoż to posmutnieliście tak nagle oboje? Zatopili się w myśli jak filozofowie, umilkli i — chcecie chyba, ażebym ja was bawiła, albo wraz z wami po pięknem bujała niebie?

— Ach! — ockniony zawołał Lucjan — daruj, daruj pani! rzeczywiście, rzeczywiście — zamyśliłem się jakoś, tak i — dodał nieco pomieszany — zamyśliłem się tak o jutrzejszej wyprawie.

— Aha! — żartobliwie potakiwała pani H. —

rozumiem, rozumiem! Ależ ty Jadwisłu — wesoło kończyła — czy także zamyśliłaś się o wyprawie?

— Moja mamol! — błagalnie i z cicha rzekła zarumieniona Jadwiga i powstała nagle z kanapy i pod jakimś pozorem, żwawo wybiegła do kuchni.

Lucjan oddawna kochał Jadwigę, nie mając jednak żadnego zapewnionego bytu, nie czując się na siłach, ażeby — osobiście w Syberji — zabezpieczyć mógł przyszłość Jadwigi, tłumił w sobie to z każdym dniem przygotowujące się uczucie i w pierwszych chwilach lękał się nawet pomarzyć o swej ulubionej.

— I cóż z tego — mawiał do siebie — cóż z tego, że kocham Jadwigę? Cóż z tego, gdybym nawet i jej uzyskał wzajemność? Czyż zacna jej matka zechciałaby powierzyć swój skarb, jedyną córkę swoją mnie, człowiekowi bez bytu, bez przyszłości? Nie, nie — kończył sam do siebie. — Wyrzeknij się tego uczucia! nie mąć ich spokoju! Nie truj życia tych, których ukochało twoje serce!

Tak często mawiał do siebie i długo, długo walczył ze sobą — i kazał milczeć swojemu sercu. Ależ:

Serce nie sługa, nie zna co to pany,
Nie da się okuć przemocą w kajdany.

Jadwiga z dniem każdym wydawała mu się miłszą, piękniejszą, ona mu tyle prawdziwej przychylności składa dowodów, ona go zawsze z taką wita radością, a żegna tak jakoś żałośnie! Zresztą, nieszczęśliwa, w połowie sierota, w razie utraty matki — i jakaż jej przyszłość?

Oto argumenta, jakie nieraz snuły się po głowie Lucjana — i Lucjan coraz więcej i mocniej lgnął do Jadwigi, nareszcie przekonał się, że nie ma ni siły, ni odwagi, a może nawet i woli do dalszej z uczuciem swem walki i już od dni kilkunastu nosił się z myślą, ażeby bądź co bądź wypowiedzieć się matce Jadwigi i prosić o rękę jej córki. Każdą jednak razą, gdy przyszedł do swych towarzyszek, całe jego położenie żywo stanęło mu przed oczyma — i obawa przed odpowiedzią odmowną zamykała mu usta. Teraz atoli przekonał się zbyt dobrze, że matka Jadwigi odgadła jego uczucia. Zarteśliwe jej słowa, wyrzeczone z taką szczerą serdecznością i jej wesoły uśmiech nie tylko tego były mu dowodem, ale oraz ośmieliły go korzystać z tej chwili tem bardziej, że Jadwigi nie było w pokoju.

— Pani! — zaczął Lucjan nieśmiało — pani! — powtórzył i zamilkł. Słowa zamarły mu na ustach.

Pani H. patrzyła na niego z współczuciem. Wiedziała a raczej przeczuwała, co w jego dzieje się sercu. Wiedziała, że pragnie wynurzyć się przed nią, że pragnie jej wyznać swoje uczucia, jakimi jego serce przepętlone dla córki, ale w swojej skromności nie ma odwagi przystąpić do tego otwarcia.

Widząc jego zakłopotanie, widząc, jak pokraśniał cały i w dół spuścił oczy, chcąc wyrwać go z przykrego jego położenia, rzekła do niego łagodnie, pół śmiechem, a jednak z powagą:

— Mów panie Lucjanie! Wiem, że masz coś powiedzieć. Wy mężczyźni, zaprawdę, nieraz psychologiczną dla nas jesteście zagadką. Wśród gra-

du kul uderzacie na bagnety i działa, a uderzacie nawet z wesołą czasem na ustach pieśnią, życie wasze wisi na włosku; przybywszy w Sybir, wojnę wypowiadacie Moskalom, opieracie się władzy, przemocy, słowa prawdy małym wypowiadacie carzykom-sprawnikom, wysyłają was do Kaczetatu za karę; z bohatyrską rezygnacją srogi znosicie los, polujecie na straszego niedźwiedzia, przy połowie ryb walczycie nieraz z rozhukanymi bałwany olbrzymich rzek — a jakby skromna jaka panienska nie macie odwagi szczerzej, szczerzej swojej przyjaciółce wypowiedzieć tego co — tu z miłym uśmiechem wstrzymała się pani H. na chwilkę, a potem zapytała Lucjana — czy mam powiedzieć?

Zdziwiony Lucjan popatrzył na nią pytająco.

— Co leży na sercu — dodatkowo rzekła pani I. z naciskiem, a potem widząc wzrastające pomieszanie na twarzy Lucjana, ciągnęła dalej: — Nie zapominaj panie Lucjanie, że jestem matką, nie zapominać, że kochająca matka sercem odczuwa i przeżywa, co dzieje się w głębi jej dziecięcia i co mniej albo więcej w niedalekiej spotkać go może przyszłości. Znamy się przeszło od roku, badałam cię, poznałam twój charakter, złożyłeś mi dowody wielkiej, szczerzej przyjaźni i rzadkiej o nasze dobro troskliwości, na jaką zdobyć się może prawdziwy tylko przyjaciel. Masz zatem prawo nie tylko do mojej wdzięczności, ale oraz i do mojej przyjaźni, która nie zawiedzie cię nigdy!

— Pani! dobrodziejko moja! ośmielony i uradowany zawołał Lucjan — zawsze, zawsze z twej strony łaskawych doznawałam względów, te atoli do-

piero co wypowiedziane słowa nie tylko zaszczycają, ale oraz uszczęśliwiają mię niewypowiedzianie! Obawiam się jednak — rzekł zniżając swój głos — obawiam się, że może potępisz mię, gdy wyznam ci, że ja, ja bez wyjątku, bez stałego zapewnionego bytu i tylko w nadziei lepszej przyszłości, pokochałem pannę Jadwigę i — kończył Lucjan, całując z pokorą rękę pani H. — jeżeli, jeżeli panna Jadwiga jest albo może być mi wzajemną, ośmielam się prosić o jej rękę.

Pani H. żadnego nie okazała zdziwienia, Lucjan nie wypuszczał jej ręki. Ona nie cofała jej. — Lucjan niecierpliwie, z bijącym sercem czekał odpowiedzi, ale pani H. zamyśliła się nieco i dopiero po pewnej chwili, po dłuższym wywodzie, po licznych zapytaniach i odpowiedziach oznajmiła mu z całą serdecznością otwarcie, że jego oświadczenie macierzyńskiem przeczuwała sercem i że to oświadczenie przyjmuje tem chętniej, gdyż mocne ma przekonanie, że Jadwiga będzie z nim szczęśliwą, a on, jako matka, widzi w tem połączeniu zabezpieczenie przyszłości swej córki, zastrzega sobie jednak ostateczną Jadwigi decyzję, która — jak mówiła — pewno mu będzie przychylną.

Lucjan każde słowo pani H. z prawdziwą chwytął rozkoszą, z rozpromienionem obliczem, w jego oku bowiem błyszczała łza radości i niewysłowionego szczęścia.

Uszczęśliwiony rzucił się do stóp pani H. i mimo jej wzbraniania się, ucałował serdecznie.

IV.

Niespodzianka.

Jadwiga tymczasem wybiegłszy do kuchni, zastanawiając się nad żartobliwymi wyrazami swej matki, prędko do tego przyszła przekonania, że matka odgadnęła rzeczywisty powód jej milczenia i smutku.

— Dlaczegoż — wyrzucała sobie — dlaczego pierwszej już nie wypowiedziałam się matce? Dlaczego pierwszej, dawniej już nie powiedziałam jej tego, dlaczego nie wyzłaziłam się przed nią... ile, ile strasznej doznaję męki, ile o jego życie doznaję obawy i trwogi, gdy wychodzi na połów albo polowanie? Wszak ona tak dobra! Wszak ona mi matką, a matką tak łagodną, matką przyjaciółką!... Onaby ze mną podzieliła tę boleść, albo przyjacielskimi, serdecznego współczucia pocieszyła słowy. A może... może, — mówiła do siebie Jadwiga, — może odwiodłaby go od tych ciągłych wypraw, połączonych z tylu niebezpieczeństw i trudem? Powiem, powiem jej wszystko, oskarżę siebie, wynurzę wszystko, co w głębi mej duszy... wszystko, wszystko, co boli tak bardzo!... O, gdyby on wiedział, ile, ile swojemi wyprawami sprawia mi boleści! Gdyby on wiedział, że każda jego nieobecności chwila wiekiem staje się dla mnie, o, on sam odstąpiłby od tego! Gdyby on wiedział, ile słodkiej doznaję rozkoszy, gdy on w mojem pobliżu, gdy widzę postać jego uroczą, gdy słyszę miły, luby dźwięk jego głosu, gdy patrząc w jego oblicze, w jego oczy łagodne, spływają w niego i serce moje i dusza moja i ciało, cała wewnętrzna moja istota!... Gdyby on wiedział, że ja go ko-

cham, że go kocham całą nierozdzielnią siłą, całą potęgą, całym morzem mojego uczucia! O, on... on! — półgłosem szepnęła sama do siebie, zastanowiła się jednak, zamyśliła i dopiero po chwili dodała żałośnie: — Ha, Begu to tylko wiadomo, co uczyniłby wtenczas!...

I ciężka troska wkradła się do duszy, westchnęła, bezwiednie wzrokiem rzuciła przed siebie i stojąc przy oknie, zamyślona, zagłębiona w siebie, długo, długo nie widzą nic, w boży, cudnie piękny spogląda świat. Gdy ocknęła się, było już późno, po dziesiątej już dawno, bo złote słońce tam w dali już niknęło za lasem, za tajgą. Gęste, szare roje, a raczej gęste, szare i liczne od ziemi aż gdzieś tam wysoko sięgające, w przestworzu niknące słupy komarów młynkowały w pobliżu.

Pod oknem niewielka przestrzeń zielonej murawy, dalej nagie, strome, wysokie brzegi opisanej na wstępie rzeczutki. Woda pieni się, szumi i chyżo po lśniących różnobarwnych pomyka kamykach. Im bliżej Czuiymu, brzegi rzeczutki chylą się coraz więcej i więcej, spadają stopniowo coraz niżej i niżej, coraz bardziej całe rozszerza się koryto, coraz szerzej i szerzej lśnią czyste jej wody i tuż pod oknem Jadwigi miała jeszcze rzeczutka, cośkolwiek tylko już dalej, urósłszy już w rękę, jeszcze weselej i jeszcze żwawiej, a jednak z powagą do wspaniałego bieży Czuiymu i pełną piersią i z rozwartemi ramionami zbliża się, tuli do niego i całą, całą łagodnie oddaje się jemu, a on?... On taki dziki, taki namiętny, porywa ją chciwie, unosi ze sobą, nurzy i topi w swego łona głębi!

Jadwiga wzrokiem swoim sąsiedniej rzeczulce aż do wielkiego towarzyszyła Czułymu.

Czułym, głęboki, szeroki, na pozór spokojny, a jednak grcżay, przemawiający strachem! Płyńie on szybko, a jednak poważnie, a jednak wspamiałe! Léniaća i gładka jego powierzchnia, zda się, nie drgnie nawet, a jednak, stanij u brzegu i wielką bryłę ciężkiego kamienia rzuc w jego łeno, a ujrzysz, jak daleko silnym unoszony prądem odpłynię od ciebie, zanim na głębokiem osiędzie dnie!... On skały olbrzymie podrywa swym prądem i jakby piłką igra w swoim wnętrzu i toczy daleko! On całe góry podmula i topi w swej głębi, on całe lasy chyżo i lekko na swoim unosi grzbiecie i nieraz, gdy rozszałeje w swym gniewie, wyrzuca z łona gdzieś daleko, daleko od brzegu!

Jadwiga znała Czułymu przymioty. — Drgnęła, przeraziła się. Może zdawało się jej, że wpada i ginie w jego odmętach, a może, może przyszedł jej na myśl połow na ryby, może w swej wyobraźni widziała Lucjana, jak w rozhukanych Czułymu tonie bałwanach?

Drgnęła, — w pierwszej przerażenia chwili, rękami gładkiego dotknęła czoła i odstąpiła od okna. Wkrótce atoli uprzytomniwszy się, napowrót przystąpiła do niego i dalej, dalej, poza rzekę powiodła oczyma.

Po drugiej Czułymu stronie, ciemny, rozkoszny, tak bardzo ponętnie zapraszający do siebie zielenił się bór. Jakkolwiek to już tak późno, mimo tego było widno i jak wogóle w tych Syberji stronach, jasno jak w dzień. Słońce nawet zupełnie nie zanu-

rzyło się jeszcze w swej złotej kąpieli i po przez rzadszą sybirskiej tajgi część, ostatnie swoje, jakby pożegnalne przesyłało promienie.

Ten cudny sybirskiej przyrody widok jeszcze więcej czułą rozmarzył Jadwigę i gdy ponownie swym wzrokiem cały przebiegłszy wiodokrag, jej oko padło na słońce, pomyślała w duchu: — Tam, tam kraj nasz ukochany! — i całą myślą i duchem swym całym w rodzinne swoje przeniosła się strony. Usiadłszy przy oknie, ładną swoją twarzyczkę drobnymi zakryła rączkami i wolne wodze puściła wyobraźni i myśli. Tam to, w rodzicielskim jej domu, najpiękniejsze życia swego przepędziła lata, a lata te, płynęły tak szybko, tak wesoło, bez troski i tak szczęśliwie! A wszystkie wspomnienie minionej przeszłości, jakież miłe, jakież drogie one!

Lata dziecięce, lalki i inne dziecinne zabawki, kryjówki domowe, różnobarwne, tak piękne motylki w ogródku z kwiatami i zielony gaik i altanki i cieniste, olbrzymiem drzewy wysadzone ulice w ogrodzie — pierwsze litery na książce i dalsza nauka, a pończoszka, pierwsze hafty i inne robótki, pierwsza piosenka i pierwsze muzyki dźwięki, skromny kościółek w pobliżu, biała sukienka i pierwsza komunja, organy kościelne i ludu wiejskiego serdeczny, do Boga zasłany śpiew; dalej — wieczory spędzane na ganku, przechadzki, przejazdki, żniwa, tańce na wyżynku, a jeszcze dalej opowiadania i pieszczoty ojca.

Wszystko, wszystko, nawet ostatnie ruchy powstańcze i nadzieje i ciągłe obawy, nieustanna trwoga, później napad kozaków, wiadomość o śmierci

drogiego rodzica i — wszystkie, wszystkie drogie i bolesne wspomnienia, żywo stały w pamięci i myśl po myśli snuła się jak z kłębka, obraz po obrazie to przesuwiał się zwolna, to przemykał szybko przed oczyma Jadwigi i — stósownie do wrażeń wzniesanych wspomnieniem — wszystkie, najróżniejsze uczucia młotały jej duszą i sercem.

— Czy wrócę tam kiedy? — sama siebie pytała Jadwiga — czy ujrzę te strony? Czy ujrzę grób ojca drogiego?

Nagle matka i Lucjan przyszyły jej na pamięć. Jadwidze było jakoś tak błogo marzyć o przeszłości! Chciała więc wrócić do lubych i drogich swych marzeń, ale wspomnienia wymykały się szybko, obrazy niknęły z przed oczu. Sybir stanął przed oczyma i smutna rzeczywistość ta wypierając pierwsze a zacierając drugie, wiodła naszą młodą wygnankę w inny świat myśli i uczuć. Całe obecne jej położenie w wyraźnej ukazało się postaci i wszystkie uczucia skierowała Jadwiga tylko do Lucjana i matki.

Pytania: — Czy matka przeżyje to wszystko? Czy Lucjan będzie nam towarzyszyć? Czy kocha mię Lucjan? Czy kocha jak ja? — całą siłą cisnęły się do głowy.

— On — pomyślała nareszcie Jadwiga — on austriacki poddany, w skutek reklamacji swojego rządu może wróci prędko, może wróci prędzej jak my. Pojedzie i — mówiła do siebie z uczuciem głębokiego smutku i żalu — i nie ujrzę go nigdy! Pozostanie mi po nim tylko droga, niezgasa pamięć, tylko drogie, a zarazem bolesne wspomnienie!

Wtem przypomniała sobie, że tak długo siedzi

przy oknie, a on, Lucjan, wybierając się na połów, może już poszedł, ażeby wcześniej niż zwykle na potrzebny udać się spoczynek. Opuściła więc ręce, powstała spiesznie, ażeby tem prędzej wrócić do pokoju, gdy wzrok jej padł mimowoli na zachód.

Słońce zniknęło już z widnokręgu, skryło się już poza tajgą ciemnozieloną i pozostała po niem tylko złota jasność, która w północnych stronach Syberji tak miłe rauca światło wśród nocy.

— Czyż i mój Lucjan — z niewysłowionym żalem mówiła do siebie Jadwiga — czyż i on tak nagle, tak niespodziewanie zniknie mi z oczu, ażeby po sobie tylko miłą pozostawić jasność, która przyświecać mi będzie w smutnej bez niego przyszłości?

Jadwiga w nagłym słońca zniknięciu złą upatrywała wróżbę i zupełne zwątpienie wkradło się do jej duszy i serca. Łzy cisnęły się do oczu, ale Jadwiga stłumiła je w sobie, a pragnąc co prędzej wrócić do matki i Lucjana, odstaąpiła od okna, szybkoimi krokami zbliżyła się do drzwi pokoju i rozwarła je w tej właśnie chwili, gdy nachylony Lucjan z taką serdecznością ścisnął i całował stopy swojej drugiej matki.

Zdziwienie jej było niewypowiedziane, nie była w stanie ani pojąć tego, ani objąć swolm rozumem.

Gdy Lucjan podniósł się, zdumiona Jadwiga tuż poza matką stała naprzeciw niego.

— Pani, panno Jadwigo! — dobrocią matki rozczulony zawołał Lucjan i z najwyższem dodał uniesieniem: — Jestem szczęśliwy... bardzo szczęśliwy! A teraz w pani tylko mocy dopełnić miarki tego szczęścia; — albo w jednej chwili, jednym

nieprzyjaznym wyrazem zniweczyć to szczęście, zniweczyć na zawsze.

— Nie rozumiem pana! — jeszcze więcej zdziwiona i pomieszana odpowiedziała Jadwiga.

— A więc — rzekła pani H. z powagą, a jednak nie bez wzruszenia — więc ja wytłumaczę ci wszystko. Pana Lucjana — mówiła, badawczym wzrokiem wpatrując się w córkę — wybrałam sobie za — syna i jego — jego — kończyła powoli — jeżeli na to twoje zgadza się serce, przeznaczam dla ciebie na — męża.

Jadwiga zbladła. Ta niespodzianka, acz radośna i miła, zwiastująca urzeczywistnienie wymarzonego jej szczęścia, pozbawiła ją odwagi i siły.

W milczeniu — stała chwilę jak niema — jakby skamieniała. Wrażenie było tak silne, tak gwałtowne, przyczyna wrażenia tak nagła i niespodziewana, że wybladła jej twarz, niemy na niej wyraz i cała nieruchoma jej postać, taką w sercu pani H. wznieciły obawę, że ujęła jej ręce i przyciskając do siebie, z macierzyńską do Jadwigi przemówiła czułością:

— Ależ Jadziu moja, lubie dziecię moje! Jeżeli nie chcesz, jeżeli nie zgadzasz się na to, ja... ja — i chciała dalej jeszcze coś mówić, gdy w tejże samej chwili na wybladłe Jadwigi policzki żywszy wystąpił rumieniec, oczy żywszym zajaśniały blaskiem i Jadwiga wysuwając swą rękę z serdecznego matki uścisku ze słowami:

— O, mamó, mamó moja droga! — rzuciła się jej na szyję, obiedwoma objęła rękami i mocno i pieśszcötliwie się przytuliła do niej.

Lucjan, który z niepokojem, a nawet z pewnym rodzajem obawy wyczekiwał stanowczej odpowiedzi Jadwigi, stał tuż przy nich w milczeniu, a nie mogąc pojąć ani zrozumieć całej tej sceny, to na córkę, to na matkę w połowie pytające a w połowie badawcze rzucał spojrzenie.

Pani H., widząc wzrastający jego niepokój, przyciskając Jadwigę do siebie, zwróciła się do niej i zapytała ją z cicha:

— No i cóż ty na to Jadwisiu?... Czy nie chcesz pana Lucjana?

Jadwiga jeszcze silniej tuląc się do matki, powoli, nieśmiało, podniosła swą główkę, przymilajaco popatrzyła jej w oczy, a potem z lekkim, serdecznym na ustach uśmiechem, figlarnie, pieszczotliwie do samego nachyliła się ucha i rzuciwszy na Lucjana ukradkiem, szybkie spojrzenie, z właściwą jej żywością wyszeptala prędko, chociaż bardzo cicho:

— Chcę, chcę! Ja kocham go bardzo, bardzo!

— A więc — rzekła matka głośno — więc powiedz, powtórz to panu Lucjanowi!

Jadwiga zapłonawszy cała rumieńcem dziewczęcej skromności, z całą siłą, jakby z bojaźni, przytuliła się znowu do matki i swoją ładną twarzyczkę na jej ukryła ramieniu.

— Panno Jadwigo! — błagajaco zawołał Lucjan i dodał: — Czyż nie usłyszę z ust pani mojego wyroku? Powiedz pani! Niechaj wiem, jaki mię czeka los!

Jadwiga, acz mocno wzruszona błagającym Lucjana głosem, po dłuższem dopiero wahaniu się i kilkakrotnem matki ośmielona wezwaniem, podniosła

swoją czarnemi sploty włosów ozdobioną główkę i przesyłając mu z swych czarnych, łzami radości tak cudnie zalśnionych ocz spojrzanie pełne niewysłowlonej miłości, powoli i z najwyższą nieśmiałością zsunawszy z ramienia matki swą rękę, wyciągnęła do niego i zaledwie dosłyszczanym odezwała się głosem :

— Wybór mej matki uszczęśliwia mię! Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa!

* * *

Gdy w parę godzin później Lucja żegnał swoje towarzyszek, Jadwisia na poły smętnie, na poły figlarnie groziła mu swoim drobnym paluszkim, a on... on uszczęśliwiony przyrzekał stanowczo, że podczas połowu wszelką możliwą zachowa ostrożność.

V.

O b a w y.

Lucjan z bereluskich jezior wrócił z połowu, potem udał się jeszcze na Czułym i obiedwie wyprawy pomyślny uwieńczył rezultat, bo każdy bardzo wypadł korzystnie, z każdego przypadło na niego ryb po kilkadziesiąt pudów z równego podziału, a za pud każdy jeden rubelek do jego wpłynął kieszeni.

W sercach naszych znajomych wielka zaszła zmiana. Smutek i tęsknotę, serdeczna zastąpiła radość.

Pani H. cieszyła się szczerze, gdy zamyślona, smętna dawniej Jadwisia, teraz często jakąś wesołą zanuciła piosenkę, a Lucjan ostatniemi czasy tak jakiś ponury i milczący do dawnego wrócił humoru, gwarzył wesoło, jak dawniej opowiadał z zapalem, albo siedząc obok Jadwigi z rozpromienionem obliczem coś jej półgłosem szeptał do uszka, — a ona, — słuchając go z baczna uwaga wyglądała tak, jak jeszcze nigdy szczęśliwa!

Pewnego jednak dnia Lucjan przyszedł później jak zwykle i zaraz po przywitaniu oznajmił Jadwidze, — wówczas już swojej narzeczonej, że jeszcze jedna tylko wyprawa, jaką ma w projekcie, a już — jeżeli przyjdzie nawet i dłużej pozostać w Syberji, da sobie radę i potrafi przyszość swoją i Jadwigi zabezpieczyć o tyle, ile zawisła od niego. Nareszcie, że o pozwolenie do zawarcia ślubu z Jadwigą podał do odnośnej władzy i już urzędowe otrzymał pozwolenie, a ponieważ, — jak utrzymywał, temi czasy przybyć miał do Aczyńska ksiądz z Krasnojarska, na przyszły więc miesiąc spodziewa się urzeczywistnienia swojego zamiaru, czego oczekuje jakby zbawienia.

— I ja panie Lucjanie — z pewnym niepokojem na twarzy odezwała się Jadwiga — i ja czekam z upragnieniem tej chwili, w której będzie mi wolno nazwać się twoją, w której cała należeć będę do ciebie i odkąd będzie mi wolno każdą chwilę mojego życia, każdą myśl moją i moje uczucia i całe życie moje poświęcić dla ciebie. I ja cieszę się na tę chwilę — ale — dodała smętnie — ja tak bardzo lękam się o ciebie, ja każdą razą, gdy wychodzisz

na te niebezpieczne wyprawy — ja drzę na całym ciele, ja nie mam ni spokoju, ni snu, jam o tylu nieszczęśliwych nasłuchiwała się wypadkach, że nie mogę — nie jestem w stanie stłumić w sobie obawy i trwogi, jaką jeszcze więcej wznieca moja wyobraźnia. Powiedz, powiedz mi zatem Lucjanie — prosiła Jadwiga — jakaż, jakaż to znowu będzie wyprawa?

Lucjan tuląc Jadwigę do siebie, wszelkiemi uspokajał sposoby. Tłumaczył, że ta wyprawa żadnej nie powinna wzniecać obawy, że to nie połów na bystrym Czującym i nie połów na głębinach mało znanych jezior i nawet nie polewanie, a bardzo łatwa i o tyle tylko przykra wyprawa na cedrowe orzechy, że potrwa dość długo, może nawet i dni czterenaście.

Te słowa przeraziły nietylko Jadwigę, ale oraz i matkę Jadwigi i Lucjan był zmuszony, całej użyć wymowy, ażeby obiedwie przekonać nietylko o koniecznej potrzebie ale oraz o zupełnem bezpieczeństwie wyprawy.

— Na tę wyprawę — przedstawiał Lucjan — wybiera się nietylko mój gospodarz, ale oraz kilkunastu naszych towarzyszków z najbliższego sąsiedztwa i — do 30 Sybiraków.

Mimo takiej pewności Jadwiga, która całym sercem ukochała Lucjana, która przywiązała się do niego tak mocno i która od chwili pierwszego z nim poznania, nie mogąc pojąć, jak można żyć bez niego tak długo, wiedząc, że zbiór orzechów odbywa się w głębi nieprzebytej tajgi, o której tyle nasłuchiwała się opowiadań, całą potęgą swej wymowy odradzała

Lucjanowi, a w końcu gdy nie pomagało i to, ze łzami w oczach, odezwiała się do niego:

— Ja wiem, że tobie chodzi o zabezpieczenie lepszego bytu dla mnie i dla mamy. To, co masz, wystarczy aż nadto na pierwszą chwilę naszego pożycia. Ja nie będę próżnować, ja podwoję godziny mej pracy i sama zdołam zapracować tyle, ile spodziewasz się osiągnąć z wyprawy. Zresztą — kończyła — może powiedzie się nam dostać na mieszkanie do miasta; — wówczas oboje z większą pracować będziemy korzyścią. — Ty będziesz robić papierosy, albo udzielać języków i nauk, a ja lekcji fortepianu i — będziemy mieć tyle, ile potrzeba i — będziemy szczęśliwi!

Po tych wyrazach oświadczył Lucjan, że jakkolwiek wysoko ocenia szczerę i pocziwę jej chęć, tudzież gotowość do poświęcenia i ofiar i jakkolwiek jest pewnym pracowitości Jadwigi, mimo tego nie dozwoli nigdy, ażeby z uszczerbkiem swojego zdrowia podwajała godziny do pracy. Co zaś do miasta, zwrócił uwagę, że pod tym względem smutnego mogą doznać zawodu, a na koniec przedstawił, że nieszczęśliwym wygnańcem w Syberji nie pozostaje nic innego jak tylko połów na ryby, ukradkiem polowanie, wyprawa na orzechy, służba za parobka albo pastucha u sybirskiego gospodarza, na koniec handel drobiazgami i — rolnictwo.

— Oto — mówił Lucjan — wszystkie sposoby jakimi możemy zarabiać na kawałek chleba. Po ślubie naszym — jeżeli nie dostaniemy się do miasta — pozostaje mi tylko rolnictwo albo handel drobiazgami, a na to większego potrzeba kapitału. Nie

znając rolnictwa, muszę wziąć się tylko do handlu i to właśnie skłania mię do udziału w wyprawie, która tyle w pocziwem twojem serduszkuzk wzniesia obawy, a po której, gdy wrócę szczęśliwie, gdy wypadnie pomyślnie, powitasz mię, jak zawsze, z radością i wesołym na ustach uśmiechem.

Pani H. poparła Lucjana swojemi przedstawieniami o tyle uspokoiła Jadwigę, że ta, jakkolwiek niechętnie, przestała sprzeciwiać się wyprawie i tylko prosiła Lucjana, ażeby był ostrożny, ażeby samotnie nie zapuszczał się w tajgę, tudzież ażeby najdalej po czternastu dniach wrócił z pewnością.

Lucjan ostrzeżenie Jadwigi przyjął serdecznie i zapewnił stanowczo, że po upływie najdalej czter-nastu dni z pewnością będzie już w Kaczetacie.

W kilka jednak dni później, gdy Lucjan wyruszając na wyprawę, przyszedł pożegnać się z nie-mi, obfite łez zdroje spływały z oczu Jadwigi, nie można jej było utulić od płaczu, a pożegnanie z Lucjanem wyglądało raczej jak pożegnanie na wieki.

*
*
*

Smutno było bez Lucjana, godziny i dnie pły-nęły ciężko, powoli; gdy zbliżał się wieczór, jakaś tęsknota, jakiś niewypowiedziany żal ogarniał Jadwigę, a pani H. znowu jak dawniej zapadała w zadumę i tak przy obiedzie jak przy wieczornej herbacie powtarzała smętnie:

— Nie ma Lucjana, pocziwy Lucjan! Zwy-czajnie o tej przychodził porze!

Na te słowa krasniała Jadwiga, snąć silniej zabiło serduszek, a często i łezka ukazała się w oku. —

Minał dzień jeden i drugi, minął dziesiąty, minęło nareszcie i dni czternaście, a Lucjana — nie było.

Czternastego dnia długo na niego czekano z obładem, Jadwisia napróżno wybiegała przed bramę. — Nie wracał Lucjan, ani nie wracał jego gospodarz. Do obiadu zasiadano więc późno i zwyczajnie koło piątej dopiero godziny wstawano od stołu.

We dwa dni później, po obiedzie, Jadwiga wzięła krosienka, usiadła pod oknem i poczęła haftować; od czasu jednak do czasu bezwładnie opuszczała ręce, zamyślała się często i z widocznym niepokojem na twarzy poglądała w okno.

Matka Jadwigi, jak powiedzieliśmy zaraz na wstępie, z wielką siatką w ręku siedziała na kanapie. Obiedwie milczały długo, po niejakiu dopiero czasie pani H. pierwsza, pochwalnemi dla Lucjana słowy przerwała tę ciszę.

Jadwisia z wyrazem zadowolenia przysłuchiwała się zdaniu, jakie o Lucjanie wyrażała matka. Po chwili jednak westchnęła ciężko i z wyrazem prawdziwej szczerości odezwała się do niej — droga mamol! Lucjana kocham — kocham go całą duszą — całym sercem! Mimo tego — gdyby nie nadzieja, że po moim ślubie przestaniesz trudzić się tak bardzo, że moje połączenie się z Lucjanem i dla ciebie będzie ulgą znaczną, że przestaniesz troszczyć się o moją przyszłość, o los mój — wierzaj — że po

strasznej klęsce, jaka dopiero przed trzema laty dotknęła nas tak boleśnie, że po stracie drogiego ojca nie odważyłabym się na teraz o własnem myśleć szczęściu.

Po tych słowach niespokojnym wzrokiem spoglądnęła w okno i znowu ciężkie westchnienie wy dobyło się z piersi.

Pani H., na której twarzy wyraz smutku także widoczny zastąpił niepokój, zwróciła się do córki i z właściwą jej łagodnością odezwała się do niej: — moje dziecię, niepotrzebnie niepokoisz się tak bardzo, Lucjan, chłopak poważny, rozsądny, nie stanie mu się nic złego. No i cóż? Poszedł — i wrócił! Jadwidze jednak łezka zabłysnęła w oku.

— Tak, tak — rzekła Jadwisia tłumiąc w sobie wybuch rozczulenia — to prawda, ależ mamocha! Jam dzisiaj tak niespokojna, że sama nie umię z tego zdać sobie sprawy. Jakieś tak straszne dręczą mię myśli, tak wielki ogarnia mnie żal, taka opanowuje tęsknota zdaje mi się koniecznie, że Lucysia jakieś wielkie spotkało nieszczęście! I nagle powstała od okna, krosienka złożyła na łóżku i łka-łac rzuciła się w matki objęcia — przytuliła się do niej i płkną swoją twarzyczkę ukryła na piersi matczynej.

Pani H. na uspokojenie Jadwigi nie mogła nic powiedzieć innego, jak tylko, że jeszcze ani gospodarz Lucjana, ani nikt nie wrócił z wyprawy.

Zaledwie pani H. właśnie na to zwróciła uwagę swej córki, posłyszane tętent czwającego konia, głośne odezwało się rzenie, potem lekko furtki skrzy-pnęły zawiasy, po przed okna jakaś postać szybko-

mi przesunęła się kroki i zniknęła w ganku. — Zanim Jadwiga powstała z kanapy, by zbliżyć się do drzwi, już je rozwarł szeroko — gospodarz Lucjana.

Jadwiga zadrgała — zbladła — chciała coś mówić — może o Lucjana zadać jakie pytanie, zafrasowana jednak mina Sybiraka, który sam nie wiedział, od czego rozpocząć, przeraziła ją tak mocno, że nie mając siły utrzymać się na nogach, podtrzymywana przez matkę, niemal bezwładnie padła na kanapę.

Pocziwiy Sybirak, który Lucjana więcej považał jak swojego popa, a kochał jak syna, przekonał się zbyt dobrze, że Jadwiga z jego przybycia odgadnęła smutną o Lucjanie wiadomość, jakiej miał być zwiastunem. Stał więc u progu w milczeniu i nie miał odwagi postąpić dalej.

Pani H. zmęszała się także i przeraziła niemało. W pierwszej chwili sama nie wiedziała, co począć: Czy ratować Jadwigę? czy pytać Sybiraka o przyczynę przybycia? Wkrótce jednak odzyskawszy przytomność, poczęła uspokajać Jadwigę.

— Wszak jeszcze nie wiemy nic — przedstawiała matka — należy pierwiej wypytać się o wszystko. Może jeszcze nie jest tak źle.

Jadwiga drżała jak listek; — wybladłe jakby martwe usta, miała lekko otwarte; oczy nieruchome, utkwione w Sybiraka oblicze, — a drobne paluszki obudwu rąk wplecione w czarne włosy.

Gdy skropiona wodą odzyskała przytomność — mów gospodarzu — słabym odezwała się głosem — mów, jaką nam o waszym panu (tak Sybiracy nazywają wszystkich Polaków) przynosisz wiadomość?

Gdzie, gdzie — żywszym i silniejszym zapytała głosem — gdzie jest pan Lucjan, co dzieje się z nim?

Sybirak ręką sięgnął za kark, poskrobał się w głowę, poprawił pasa, obciągnął koszulę i — milczał.

Jadwiga zniecierpliwiona, powstała z kanapy, zbliżyła się do niego, rękę mu położyła na ramieniu, badawczo popatrywała mu w oczy i jeszcze raz i jeszcze głośniej powtórzyła pytanie.

— A cóż panno — dobrodusznie odpowiedział Sybirak — co dzieje się z nim, nie wiem, ale — dodał wahajaco i poglądając na matkę — ale go — nie ma — gdzieś — kończył powoli — gdzieś — zaginął w tajdze!

Jadwiga drgnęła, opuściła rękę i poglądnęła na matkę, która załamawszy ręce głośnieym wybuchnęła płaczem. Jakiś czas wpatrywała się w nią z obojętnością, jakby była bez uczucia, po chwili jednak przystąpiła do matki, ujęła jej rękę i zamyśliwszy się nieco, odezwała się:

— Matko moja! Gdy byłaś słabą, gdy leżałaś bez przytomności, a ja straciłam już wszelką twego wyzdrowienia nadzieję i byłam bliską rozpacz, przybył nasz zbawca i między innemi rzekł do mnie: „teraz nie czas płakać i rozpaczać, teraz trzeba ratować.“ Pozwól i mnie powtórzyć te słowa: „tu trzeba ratować!“

Poczęły Potem obie kobiety o wszystkie szczegóły zniknięcia Lucjana wypytywać i badać przychylonego im Sybiraka i jego rady co do ocalenia Lucjana zasłęgać.

Nazajutrz rano, zaledwie pierwsze słońca promienie ukazały się na widnokręgu, matka z córką w towarzystwie kilkunastu Sybiraków i kilku towarzyszów wygnania, jakich tylko w tak krótkim czasie można było sciągnąć z najbliższego sąsiedztwa, znajdowały się już w drodze w nieprzebyte tajgi.

VI.

W t a j g a c h.

Wypada nam poprowadzić czytelników na wyprawę z Lucjanem.

Wyruszył on wraz z kilkoma towarzyszami i 30 Sybirakami kenno, w szałce włosennej na głowie, z myśliwską torbą i z sybirską na ramionach gwińcówką, a toporem za pasem. Za nimi kilka jednokonných toczyło się wozów.

Sybiracy wyruszają na orzechy przynajmniej o 40 wiorst od swoich siedzib i jeszcze dalej w głąb tajgi. Wyprawa tego rodzaju, jakkolwiek z wielu połączona trudami, opłaca się dobrze, bo po 14 dniach, wypadnie z równego podziału na każdego mniej więcej po 40 pudów, przeszło 16 ctr., a ponieważ pud sprzedają po 2 rsr., każdy zatem uczestniczący w wyprawie może spodziewać się około 80ciu a nawet 100 rubli zarobku.

Przybywszy w głąb tajgi, w pobliżu najobfitszych w orzechy cedrów, przywiązują konie, rozkładają ogniska, wznoszą szałas, a potem z kolei na rozmaite dzielią się kategorje. Gdy jedni pilnują koni i dostarczają siana i wody, inni muszą gotować

i niezbędne nastawiać samowary, większa zaś liczba z worami i płachtami idzie na orzechy. Na najwyższe wspinają się drzewa, a gdzie nie mogą dosięgnąć rękami, tam toporem obcinają gałęzie.

Wyprawy tego rodzaju odbywają się zwyczajnie przy końcu lub w połowie miesiąca września, t. j. gdy noce zaczynają być dłuższe i ciemniejsze. Wówczas o 10tej ściemnia się już znacznie, a rozwidnia dopiero koło 5tej rano. Szyszki przyniesione z wieczora, bywają nazajutrz łuszczone rękami tych, którzy pozostają przy szałasach, ogniskach i koniach. Szyszki, jakkolwiek mniejsze — mają kształt podobny do szyszek cedrów libańskich, barwa ich, dopóki świeża zewnątrz i wewnątrz fioletowa; orzeszki podługowate, małe, mniej więcej jak trzy albo cztery razy ziarnko naszej gruszki zwyczajnej lub naszego jabłka; cienka, ciemno brunatna łupina, ziarnko orzecha białe, miękkie, dosyć soczyste, lecz co do smaku, oznaczyć go trudno, ni kwaśne ni słodkie — nijakiego smaku. Sybiracy atoli, nie mając żadnych innych orzechów, lubią je bardzo, rozgryzają zębami i całą tego rodzaju manipulację niesłychanie przeprowadzają szybko i zręcznie. W post, który u Moskali przypada często i trwa tak długo, a bywa dotrzymywany ściśle, wyrabiają z tych orzechów smaczny olej i — na sposób naszej orszady — śmietankę do herbaty. Sam zbiór orzechów trwa zwyczajnie 10—12stu dni, resztę zaś czasu przeznaczają na dokończenie łuszczenia, na podział i pakowanie na wozy. Sybirskie drzewa cedrowe pod względem wysokości i grubości równają się naszym największym sosnom. Różnią się jednak tak składem, jak również

miękkością swych a oraz igieł, tem, że rosną bardzo rozłożysto. Drzewa cedrowego używają Sybiracy na budulec i na kufry, które z tego względu cenią wyżej nad inne, że zabezpieczają od molów. Cedrową żywicę żują z wielkiem zamięłowaniem i jak utrzymują niektórzy, właśnie to wpływa tak korzystnie na lśniącą białosć ich zębów.

Wyprawa, w której uczestniczył Lucjan, powiodła się jak najlepiej, zebrano orzechów znacznie więcej, niż kiedykolwiek i Lucjanowi przypało z równego podziału 86 pudów.

Dnia 14-go, licząc od wyjazdu z Kaczetatu, wszyscy Sybiracy już rano byli do powrotu gotowi. Już zaprzągnięto i posiodłano konie i za krótką chwilę cała wyprawa wyruszyć miała w drogę do domu, gdy Lucjan w pewnem oddaleniu ujrzał ogromnego głuszcza siedzącego na drzewie.

— Tak! głuszec — pomyślał — którego mięso tak smaczne, tak kruche, przyjemną dla matki mojej Jadwisi będzie niespodzianką. — Zdjął więc strzelbę z ramienia, odwiódł kurek co prędzej, opatrzył panewkę, przysypał prochu i nieznacznie począł skradać się w pobliże ptaka.

Już — już tylko kilka jeszcze kroków, a byłby strzelił do niego, gdy ciężki głuszec rozpląwszy swe skrzydła rozmachał je silnie, wyciągnął szyję i nogi i — zanim Lucjan zdołał podbiegnąć pod strzał, uleciał z drzewa, by o kilkadziesiąt stóp dalej usiąść zmęczony na innym.

Lucjan przyspieszył kroku, a jakkolwiek Sybiracy wzywali go do zaniechania swojego zamysłu, pogonił za ptakiem.

Za zbliżaniem Lucjana, dziki indyk zerwał się znowu i znowu cokolwiek dalej usiadł na drzewie. Zniecierpliwiony myśliwy nasz, widząc ociężałość indyka, spodziewał się szybkością swych nóg nagrodzić niewielką doniosłość sybirskiej skałkówki i popędził cwałem, by zastrzelić go w lot. Niestety! Głuszec nie czekał na niego, to zrywał się, — to spadał, — a Lucjan ciągle biegł dalej i dalej, dopóki indyk nie zniknął mu z oczu.

Znużony bieglem stanął, oglądał się w koło, odpoczął chwilę i już chciał wracać do swoich, gdyż tuż koło niego najwięcej o 30 kroków, usiadł ponownie głuszec na drzewie.

Lucjan wymierzył. Padł strzał, a za strzałem i głuszec trzepocząc skrzydłami, opadł na ziemię. Uradowany strzelec żwawo pobiegł po niego, lecz indyk pleszo umykał co sił. To w wysokiej krył się paproci, to po przez najgęstsze prześlizgał się krzaki i Lucjanowi powiodło się nieprędko schwytać go i dobić.

Przytroczywszy ptaka do torby, Lucjan nabił strzelbę na nowo i począł rozglądać się w koło, którą z powrotem udać się stroną? Nie mogąc zorientować się dobrze, zawołał po kilka razy! „Hop, hop!“ — Nadstawił ucha. — ...Cisza. — Nie odezwał się nikt... „Hop, hop!“ na wszystkie strony donośnym powtórzył głosem. — Usłyszał — tylko własnego głosu odbicie niesione po lesie. — Zmęczał się, — otarł pot zimny z czoła i — wszystkie legendy, wszystkie wypadki opowiadane o tajgach stanęły mu na myśli i — dreszcz zimny przebiegł po ciele.

Denośne po kilkakroć razy z szerokiej piersi wydobywające się wołania, podawał sobie świat leśny, jakby na urąganie — daleko — daleko! Odezwu jednak nasłuchiwał napróżno. I znowu pot zimny spłynął mu z czoła i znowu dreszcz zimny przebiegł po ciele. Lucjan raz jeszcze oglądnął się w koło, by zapamiętać miejsce, w którym znajdował się wówczas, z tego bowiem miejsca postanowił na wszystkie strony w promieniu przedsiębrać wycieczki, by przecieź trafić do swoich.

Szybkiemi kroki puścił się naprzód, zwracając całą swoją uwagę na miejsca, któredy przechodzili.

Co chwila inne na drodze stawały przeszkody. To paproć jakaś zanadto wysoka, lub trudna do przebycia krzaków gęstwina, to jakieś konary i gałęzie z trawy sterczące, albo olbrzymie drzewa leżące na drzewach, lub grząskie bagniska głębokie, niesłychanie każdy mu krok utrudniały.

Odważnie i wytrwale postępował naprzód i co kilkadziesiąt kroków powtarzał głośne, bezskuteczne „hop, hop.“

Zrobiwszy w promieniu kilka daremnych wycieczek, znużony niesłychanie, usiadł na ziemi, ażeby odpocząć i pomyśleć, co czynić ma dalej?

Sybirskie tajgi — to nie nasze lasy i bory, gdzie na miękkim, puszystym mchu, można wygodnie rozciągnąć się pod drzewem, by pod jego cieniem wypocząć, gdzie bogdaj z daleka doleci odgłos siekiery lub piły, gdzie na każdym kroku zobaczysz ścieżkę albo dróżynę, gdzie na każdym kroku widać rękę ludzką albo ślady ludzi!

Tam — w sybirskiej tajdze — inaczej.

Znajdzie tam złoto i srebro i drogie kamienie, ale duszno tam i wilgotno! — Na ziemi zamiast mchu miękkiego, miliony grzybów zlejących stęchłą, przegniłą, miękką, rozlałą kłody starością powalonych drzew, tu i owdzie wysoka trawa i paproć wysoka, a wśród niej często gęsto jadowita żmija.

W sybirskiej tajdze — niemal wieczna panuje cisza, a biada, biada temu, kto w chwili rozkołysania tego lesistego morza, w ponurem wnętrzu jego szuka schronienia!

Za lada wiatru podmuchem — starością zgrzybiałe drzewa z łoskotem i chrzęstem gałęzi z wszech stron walą się na ziemię i druzgoczą wszystko, co stoi na drodze. A sybirski huragan w tajdze sybirskiej? To duch strasznej klęski, to duch prawdziwego zniszczenia, który tysiące morgów lasu w swym gniewie ściele sobie pod stopy. Biada temu, kto zabłąkany — w sybirskiej tajgi dostanie się wewnątrz. W jej łonie ludzie giną bez wieści, nie jedno — nawet z 200 ludzi składające się grono robotników, dążących do kopalni złota, zmyliwszy drogę, zginęło bez śladu, a zdarzało się, że paręset ludzi, zabłądziwszy w tajdze, zarządzało losowanie, kto z pośród nich paść ma z kolei ofiarą dla zaspokojenia ich głodu i — po dniach kilkunastu, zaledwie kilku opuchłych, wpół martwych przy życiu znaleziono postaci.

W tajdze sybirskiej żaden nie zaszeleści liść, najłżejszy nie wionie wietrzyk, a zamiast ptaków śpiewu, niezliczone roje owadów, miliony komarów, muszek — czyli moskitosów — bąków, czmielew, ós i szerszeni brzęczy nad uchem, — złowrogo hu-

czy w powietrzu i z żarliwą chciwością nasycenia się krwią, całemi rojami rzuca się na człowieka.

W sybirskiej tajdze nie znajdzie ani drożyny, ani ścieżki, ani nawet śladu stopy ludzkiej. Tam chyba zimą, rzadszą częścią, tajgi przemknie się Ostyak, Tunguz lub Jurak na sążnistych futrem podszytych łyżwach drewnianych.

Obok drogich soboli i innych drogich a mniej drapieżnych zwierząt, tylko lis, wilk, ryś, niedźwiedź albo łoś, — oto jedyni towarzysze, z jakimi można się spotkać w tajdze sybirskiej!

O tem wszystkiem wiedział Lucjan. Myślał nad swoim ocaleniem, ale niestety wszystkie plany sam zbijał po chwili i w końcu do tego przyszedł przekonania, że do jego ocalenia dwie tylko pozostają mu drogi: albo czekać na miejscu, gdzie przecież będą go szukać, albo samemu szukać jakiej rzeki, która, chociaż po wielu trudnościach, doprowadzi go w końcu do samego Czułymu.

Biegając, szukając ocalenia dzień blisko cały, uczuł z kolei głód i gorączkowe pragnienie. Wynałazł źródło, a tuż obok dogodniejsze i suchsze miejsce do przespania. Postanowił rozłożyć ogień, oskubać indyka, upiec, podzielić na porcje, ażeby na kilka wystarczył mu dni; gdyż obawiał się słusznie, że nie tak łatwo zabije drugiego. Tajgi bowiem sybirskie, jakkolwiek miliony ptactwa i zwierzyny mieszczą w swem łonie, kryją się one w takich głębiach i w takich niedostępnych miejscach, że chyba tylko przypadkiem szczególnym można spotkać się z niemi, albo je szukać jeszcze dalej i głębiej. — W zimie tylko więcej do ludzkich zbliżają się osad.

Lucjan rozłożył ognisko, oskubał głuszcza, na żelazny stępel gwintówki nasadził i już go zaczął opiekować powoli, gdy doleciał głos dzwonka.

Głuszcza zsunął ze stępla, włożył stępel do strzelby i popędził coprędzej, gdzie głos dzwonek w dali wróżył dobrą nadzieję. W szybkim pędzie przesadzał konary i gąszcze, powalonych drzew kłody i wysokie paprocie. — Hop! hop! — wołał gromko przed siebie i dodawał: — Pastoj! padażdi!

Biegł wciąż naprzód i naprzód, biegł i krzyczał bez przerwy. Lecz głos dzwonek cichnął coraz więcej i więcej.

Strach go ogarnął, niktą wszelką nadzieję. Chwycił strzelbę i wystrzelił w powietrze. Jeszcze krzyknął: Hop, hop! — i powtórzył: Pastoj! pastoj, bratnie mój miły! — Lecz głos dzwonek cichnął coraz więcej, aż przepadł zupełnie.

Lucjan nabił strzelbę ponownie i znów puścił się dalej. — — Tam pomyślał, gdzie ktoś jechał z dzwonekami, będzie droga koniecznie. Przecież trafię do ludzi!

Chociaż bardzo znużony, chociaż potem oblany, postępował z pospiechem, bo zapadał już zmrok, już zbliżała się noc.

Po dłuższym upływie czasu przekonał się, że drogi szuka napróżno, że pomylił go słuch i zapewne w inną puścił się stronę. Chciał wracać na miejsce gdzie rozłożył ognisko i zostawił głuszcza; ale niestety, może w połowie drogi z powrotem tak ciemna zaskoczyła go noc, że znużony, zmęczony, wygłodniały i prawie bezsilny nie miał już ani chęci ani odwagi w dalszą zapuszczać się drogę. — Z wydeby-

ciem ostatnich sił nałamał suchych gałęzi i znowu rozłożył ognisko. Płomień buchnął wysoko i całe miejsce oświecił dokoła. Głód i obawa przed przybyciem niedźwiedzia skłoniły go, że wylaził na drzewo cedrowe i tam już przebył do dnia.

Zaledwie na wygodniejszej usiadł gałęzi i orzeszkami starał się napróżno zaspokoić swój głód, gdy groźny ryk niedźwiedzia doleciał go zdala. Drzewo dla sybirskiego niedźwiedzia żadną nie jest przeszkodą; wydrapie się on na najwyższe drzewo, do czego — jak twierdzą Sybiracy, przyucza go matka za młodu. Sybirska zaś gwintówka, do której małego kalibru zaledwie parę niewielkich wkłada się loftek, nie tylko nie jest żadną rekojmią bezpieczeństwa, ale wydarza się nieraz, że sybirski niedźwiedź otrzymawszy 8 do 10 strzałów, jeszcze rzuca się i rozdziera ludzi.

Lucjan przytulił się do drzewa, by nie drgnąć — nie zaszeleścić liściem i nie zwrócić tym sposobem uwagi zwierza. Lecz niedźwiedź zdaje się — gonił tylko łosia, który gdzieś bokiem ogniska pomknął jak strzała. Głośny tętent, szum, chrzęst i łamanie gałęzi utwierdzały w tem przekonaniu.

Niedźwiedź w ten sposób najczęściej pokonuje łosia, że go zapędza na bagna albo na liczne drzew łomy. Łoś grzęźnie lub pada, a niedźwiedź z cynicznym wówczas spokojem rzuca się na swoją ofiarę.

Noc Lucjana, jakkolwiek bez żadnego nadzwyczajnego wypadku, była okropna.

Nazajutrz rano — głód dokuczał mu tak bardzo, że przedewszystkiem postanowił odszukać pierwsze swoje ognisko i — głuszca; — wszystkie je-

dnak jego poszukiwania były bezoweczne. Nie znalazł ani głuszcza, ani ogniska. — Cały dzień wśród skwaru i o głodzie błakał się po lesie. — Jagody i cedrowe orzechy jedynem były mu pożywieniem. Koło wieczera coraz więcej znużony, z bólem głowy, zapragnął odpecząć wygodniej i już zamierzał na miękkiej położyć się trawie, gdy znowu groźny ryk niedźwiedzia rozlegający się głośno po tajdze, doleciał go z pobliza. Obrócił się do koła, pobliskie drzewa zmierzył oczyma, na jedno z najwyższych a najprzystępniejszych wdrapał się żwawo i usiadłszy na wygodniejszej gałęzi, wyteżył słuch i wzrok w tę stronę, skąd dolatywał go ryk. Zmrok bardzo zapadał szybko — noc swoje cienie rozpościerała od dołu do góry i wkrótce, gdy wierzchołki wyseklich drzew jaśniały jeszcze acz słabo ostatnim odbłaskiem słońca, ujrzał ciemnię, której nie zdołało przedrzeć jego oko.

Groźny, przerażający ryk niedźwiedzi nie powtórzył się więcej i niczem niezakłócona cisza leśna zaległa świat.

Była to chwila przejścia z dnia do nocy. Gdy jedni tajgi mieszkańcy układali się do snu, drudzy nie przebudzili się jeszcze. Dopiero — gdy noc ciemna czarnym całunem olbrzymią zasłoniła tajgę — nowe — przerażające budzi się życie. Pisk niedo-perzów, krzyk sów i puhaczy, wycie i żarcie się wilków, coraz częściej i częściej dolatują uszu. Zimny pot lał się z czoła Lucjana, dreszcz przebiegł po ciele, ból głowy wzrastał się ciągle i męciło się w głowie, a pragnienie paliło go coraz więcej. Nad-

słuchiwał pilnie, bo w tem swoje główne pokładał bezpieczeństwo.

Nocni nieprzebytej tajgi mieszkańcy, żywem żyli życiem i wśród czarnej nocy, głośniej było w tajdze, niż we dnie. — Nagle — jakby za skinieniem niewidomej władzy, ucichło wszystko. — Tu i ówdzie tylko przemknął zwierz jakiś, zaszeleścił liśćmi, albo pod ciężkimi stopami grubej zwierzyny. zątniała ziemia i słychać było łom gałęzi i chrustu, a potem znowu — ucichło wszystko.

Ta nagle cisza jeszcze więcej zwróciła uwagę Lucjana. Wkrótce potem posłyszał łot, a następnie z wszech stron to piskliwy, to ponury krzyk nocnego ptactwa, które zrywało się jakby z przerażeniem i gdzieś odlatywało daleko.

Niebo pochmurne — noc była ciemna, czarna i jakkolwiek Lucjan nie mógł żadnego rozróżnić przedmiotu, mimo tego wyteżył wzrok swój przed siebie, bo z tej właśnie strony zrywało się ptactwo.

Nareszcie jakaś niewielka, biała luna, jaśniejsza od czarnej ciemni nocy ukazała się w dali i coraz wyraźniej i wyraźniej przedzierając się po przez gąszcze krzaków i drzew widocznie zbliżała się w stronę drzewa, na którym siedział.

Ażeby niespodziwanemu zjawisku przypatrzeć się lepiej, z narażeniem twarzy na żądła komarów, spiesznie włosienną siatkę zdjął z głowy. Luna zbliżała się szybko, jasność występowała coraz wydatniej, szasami nareszcie z pomiędzy drzew, czerwone błysnęło światelko, a wkrótce lekkie, później coraz głośniejsze posłyszał stąpanie, tudzież szelest gałęzi i jak pod stopami grubego zwierzka łamanie chrustu.

Niepokój jego wzrastał i jakżeż wielkie było jego zdziwienie, gdy w zbliżającym się świetle, poznał już palące się wielkie łuczywo żywiczne, które jakaś dziwna, przerażeniem i zgrozą przejmująca postać trzymała w swem ręku.

Postać ta krokiem pewnym postępowała powoli, od czasu do czasu przystanęła na chwilę, oglądała się w koło i przypatrywała drzewom z taką uwagą, jakby chciała rozpoznać którądy znaną jej drogą kroczyć ma dalej? Łuczywo w jej ręku to zniżało się — to podnosiło wysoko.

Lucjan tym sposobem mógł dokładniej całej przypatrzeć się postaci: był to mężczyzna wysoki, smukły, o ramionach rozrosłych szeroko. Miał na sobie koszulę i resztę ubrania, jak zdawało się, z delikatnego o krótkiej sierści w jasne i ciemniejsze kostki sztyego futerka; cała głowa włosienką pokryta siatką nie dozwalała przypatrzeć się rysom. Za skórzanym pasem zatknięty topór szeroki, u boku niewielka skórzana torebka, na krótkim rzemieniu, w szerokiej skórzanej pochwie nóż dosyć długi, z białą, błyszczącym metalem wykładaną rączką, przez ramię zwyczajna, sybirska przewieszona gwintówka, a na nogach skórzane obcisłe sandały.

Tuż koło drzewa Lucjana zatrzymała się dzika ta postać, oglądnęła się w koło, nareszcie zatknąwszy w ziemię łuczywo, poczęła suche zbierać gałęzie i układać je w stos, który podpalony łuczywem, wkrótce jednym buchnął płomieniem. Miljony iskier wznosiło się w górę, a biały, sinawy dym gęsty kłonił się więcej ku ziemi.

— To Ostjak — pomyślał Lucjan. — Czy mam odezwać się do niego — pytał sam siebie. — Czy mam wezwać jego pomocy?

Wachał się długo, sam nie wiedział, co począć. Ostjak tymczasem stos gorejący obszedł do koła i zatrzymał się po tej stosu stronie, na którą więcej chylił się dym. Zdjął strzelbę z ramienia, opatrzył panewkę, ostrożnie oparł na krzaku pobliskim a potem tuż koło strzelby i sam usiadł na ziemi, podniósł się jednak niedługo, sięgnął do swojej torebki, wyciągnął ryby suszonej kawałek i chleba kromkę dość wielką i zającwszy siatkę z głowy, wziął się do jedzenia.

Teraz mógł Lucjan jego twarzy przypatrzeć się dokładniej. Był to już starzec bardzo podeszłego wieku. Włos długi, zupełnie już biały spływał na ramiona, cała twarz ściągała, szczuła, smagława, czoło wysokie, nos orli, zarost niewielki, rzadki i także zupełnie już biały. Przy jasnym płomieniu dostrzegł Lucjan, że cała twarz starca pooraną była zmarszczkami a bystre oczy iskrzyły się. Każdy ruch starca przekonywał o sile niezwykłej w tym wieku, cała postać była poważna, a w zgrzybiałych rysach jego przebijało się wiele szlachetnego wyrazu.

— Ten Ostjak — pomyślał Lucjan — nie może przecież zupełnie być dziki. Niechaj dzieje się, co podoba się Begu — odezwę się do niego. Wszak nie nie pozostaje mi innego. Jeżeli on nie ocali mnie, marnie zginę w tej tajdze, a biedna Jadwiga?

Głośniejsz poruszył się na drzewie.

Starzec bystry wzrok skierował na drzewo. —

Lucjan westchnął głośno — głęboko, a westchnienie jego było raczej podobne do jęku.

Starzec w mgnieniu oka, resztkę swojej wieczery schował do terebki, siatkę zarzucił na głowę, chwycił za strzelbę i na równe zerwał się nogi.

— Hej bratlec mój miły! — odezwał się Lucjan błagalnie i dodał: — radi Chrysta spasi! — (Zakłęcie Moskali tyle co: „Przez wzgląd na Chrystusa ratuj!“)

Zanim Lucjan zdołał powtórzyć prośbę, starzec pomknął już w krzaku i w gąszczu tajgi zniknął mu z oczu. Głośne jego wołanie o pomoc, że zbłądził, napróżno — licznem odbijane echem — po głuchej rozlegało się tajdze. Starzec nie wrócił, Lucjan ostatnią stracił nadzieję. Resztę nocy przepędził na drzewie, a następnego dnia rano wygłodniały, cały osłabiony, znużony bezsennością, z silnym bólem głowy a ślarem w piersi i gorączką na ustach, w inne zawlókł się strony, pełne nadzwyczaj bujnej wegetacji.

Cały las śliczną był okryty zielenią i cudnymi kwiaty. Lucjan zdumiał i mimo całej okropności swego położenia podziwiał te prawdziwe cuda przyrody.

Las to był rzadki i dziwnie piękny. Całe miejsce nieco wzgórzyste, zarzucone olbrzymiemi niby kłębami, pełnemi kształtnych, okrągłych i piramidalnych form, peczawszy bowiem od najniższych na kraju krzewów, stopniowo do większych i większych drzewek i drzew, z najwyższem w pośrodku drzewem, stały wspaniałe kłoby jeden obok drugiego w odległości kilku lub kilkunastu sążni, a w pośrod-

ku nich, zamiast pospolitej tam — choć zawsze pięknej paproci, dostrzegł całe łany najpiękniejszych kwiatów i roślin — a wszystkie takim żywym tchnęły tam życiem — każdy kwiatuszek, każda roślina — wszystko to bujne, jędrne i świeże i tak jakoś hoże, wesołe i wonne i niby perłami rześistą, skropione rosą — że biedny Lucjan jeszcze głębszym ogarnięty żalem, usiadłszy pod kłębem wpośród tych kwiatów, załamał ręce przed sobą i głośno zawołał w rozpacz:

— Boże mój, Boże! Czyż dlatego tak piękny Twój świat, żeby go opuścić tak prędko? — Czyż dlatego w pięknym dziewczęciu tyle pięknych odkryłem cnót, czyż w pięknej mojej Jadwisi dlatego tyle poznałem przymiotów duszy i serca, by ją pokochać całą mojego uczucia potęgą a potem pożegnać na zawsze, na wieki? — Ażaby pokochać ją, a potem tak marnie w sybirskiej tajdze zginać bez wieści i śmiercią swoją — zniweczyć wszystkie jej nadzieje — wyrzucić przyjaciela — osierocić — oddać na pastwę losu i powoli poprowadzić do grobu.

— Ha! — wołał złamany boleścią. — To straszne! — To straszne! — O człowiecze, człowiecze! — zawołał dalej z niewysłowionym żalem. — Z płaczem przychodzisz na świat! Pierwszy twój głos — to płacz albo boleści jęk! — A potem — potem — za krótką chwilę pieszczot matczynych? — długie lata całe, całe niemal pół wieku: wleży i trudy — złudne nadzieje i ciągle zawody, cierpienie i krótkie — gorzką trucizną, bo nieustanną troską zamaćcane szczęście — a w końcu, w końcu? — ze strasznym na ustach pytał uśmiechem. — Śmierć! śmierć! w

tajgach sybirskich! — sam sobie odpowiedział głośno, tonem urągania i pogardy.

— Śmierć — mierz — jęcz. — W taj — aj — gach — ach — sy — bir — ir — skich — ich! — tysiącnym odgłosem niesionym po rosie, szybko, wesoło, a jednak tak jakoś groźnie powtarzały sobie leśne postacie i podawały dalej i dalej, że Lucjan własnych przeraził się słów.

W tem echu straszną upatrywał groźbę, tem straszniejszą wróżbę.

Zadrżał. — Żał mu było świata, żał Jadwigi i żał mu było umierać. — Cała przeszłość, a między innemi i pierwsze chwile poznania Jadwigi stanęły żywo w pamięci. Przypomniawszy sobie, że biedne dziewczę w swoim nieszczęściu boskiej wzywając pomocy — w nagłym jego zjawieniu doznało ulgi, pociechy i ocalenia. I teraz — w tej może chwili — o moje ocalenie błaga pana nad pany — Bóg może wysłucha modłów niewinnej duszy, a ja, ja niewdzięczny — szemrzę na jego wyroki?

— O Panie, Panie! — z prawdziwą skruczą zawołał zwracając oczy ku niebu — Tyś litościwy! wyrwij mię z tego nieszczęścia, ocal mię Boże! — Westchnął głęboko i jakąś ulgę poczuł w swem sercu. Jakaś nadzieja wstąpiła do duszy.

— Nie ma co czynić — pomyślał — trzeba iść dalej — może przecież na jaki natrafię potok i — dojdę do Człymu. — Powstał więc żwawo, choć z resztkami już sił, gwintówkę zarzucił na plecy i postąpił naprzód.

VII.

Polska w puszczy.

Zaledwie kilka uczynił kroków, jakiś szelest w pobliskim drzew kłębnie zwrócił jego uwagę. Odwrócił się i — ujrzał przed sobą Ostjaka — którego w nocy daremnie wzywał o pomoc.

— A gdzie to chłopcze? — po polsku zapytał starzec i dodał — ta droga prowadzi w głąb tajgi, a ty — jak z twych nierozsądnych wznosić mogę żalów i narzekań, pragniesz zapewne dostać się do twoich, do waszego szałasu, zkąd na zbiór orzechów cedrowych wychodziłeś codziennie?

— Tak, tak — rzekł Lucjan zdumiony — pragnę — dostać się do — szałasu!

— A widzisz chłopcze? — rzekł starzec — nie należy nigdy narzekać zawczasie i bluźnić Bogu, który prawego nie opuszcza nigdy! Wszystko — zbliżając się do Lucjana, dalej mówił starzec — wszystko na świecie swoim idzie trybem, każdy twój krok obliczony już naprzód. Jest ręka wyższa — nauczał wskazując na niebo — która rządzi i kieruje wszystkim. Przeznaczeni do czynu, w nieustannej musimy być walce fizycznej albo moralnej. Jak widziałeś i we wszystkim dostrzegasz walkę żywiołów, tak same ma się rzecz walki narodów i pojedynczych jednostek z innymi narody i pojedynczymi jednostkami — walki o ideę, o zasadę, walki dobrego ze złem, albo w życiu powszednim walki z trudnościami o byt! Nawet i klęski — nawet nie-szczęścia, słabości i śmierć — i te i te podobne są w życiu pojedynczych ludzi i w życiu narodów. Są

potrzebne dla jednych, albo dla drugich, dla dotykających, albo dotkniętych. Klęska nasza zrodziła powstanie 1830 roku, to zaś stworzyło 1846 rok, a ten sprowadził rok 1863; — poczekajmy cierpliwie, a przekonamy się, że klęski ostatniego powstania nie przeminą bez skutku i — jakkolwiek nie ja, wy przynajmniej doczekacie się zwycięstwa. Jak powiedziałem stworzeni do czynu, winniśmy w ciągłej nieustającej żyć walce czy to fizycznej, czy moralnej, nie wolno nam jednak gnuśnieć beczynnie, nie wolno zaginać nam rąk, ani upadać na duchu i bluźnić Bogu, jak ty uczyniłeś przed chwilą i — wierzaj, gdybym ostatnich twoich nie był dosłyszał wyrazów — kto wie — czy byłbym tak ochoczo spieszył do ciebie i — tak otwarcie rozmawiał tu — z tobą.

Zdumiony Lucjan, który w sędziwym starcu upatrywał tylko Ostjaka albo Tunguza, stał nieruchomy z oczyma utkwionemi w tę ciekawą postać.

— Jak widzę — ciągnął dalej starzec — dziwi cię to niemało, że dzięki Ostjak jakiś w ten sposób przemawia do ciebie, mój synu! I jam Polakiem jak ty i ja równie jak ty i tyle tysięcy twoich towarzyszków, skazany byłem z wielu innymi w Sybir na posilenie. Wówczas — groźniejsze jak dzisiaj były to czasy. Życie każdego z nas i każdego mieszkańca Syberji, który nie chciał łączyć się z bandami rozbójników, wisiało na włosku. — Ale — uderzając w torebkę, zawołał sędziwy ziomek — jam się rozgadał, ot, zwyczajnie jak starzec, który wszystko, co czuł i widział niegdyś za młodu, pragnie przed kim wynurzyć, który nieraz, ot, do tych prze-

mawia tu drzew. Jam się rozgadał, a ty głodny pewnie. Ot, chodź tutaj bliżej, usiedziemy w cieniu, dam ci i chleba i ryby kawałek. To moja wieczerza, której ty to zapewne nie dałeś mi spożyć do reszty. Przekąsisz, pogwarzymy trochę, usłyszysz nieco odemnie — a i ja może dowiem się czego od ciebie; a potem, potem, doprowadzę cię prędko do twoich.

Lucjan postąpił naprzód i usiadł w cieniu tuż obok starca. Starzec mu podał niespożytą w nocy wieczerzę i tak opowiadał mu dalej:

— Kto jestem? nie pytaj! Co mogę, sam powiem. Niegdyś byłem zamożnym. Gdzie? Mniejsza o to. — Po strasznych w życiu kolejach dostawszy się w Sybir z wielu innymi, równie jak i wszyscy moi towarzysze, w okropnem byłem położeniu. Ludność Syberji dopiero w ostatnich trzydziestu latach rozmnożyła się tak bardzo, pierwaj było jej mało. Jedni napadali drugich i mordowali. Władzy nie było prawie żadnej, a przynajmniej żadnego nie miała znaczenia. Za moich czasów ów Aczyńsk był lichą zaledwie 30 domów liczącą mieściną. Rozbójnicy tak wzięli górę, że tylko swoich oszczędzali przymierzeńców, a do jakiego stopnia posuwali swoją zuchwałość, niechaj ci posłuży za dowód, że w moich oczach, w dzień biały, na środku rynku — powiesili gorodniczego (policmajstra) miasta Aczyńska. Kto dobrowolnie nie dał się rabować, padał ofiarą, a stawiających opór, w najokrutniejszy męczono sposób. Sam, na własne oczy widziałem ciała, które za życia odarto ze skóry. Nasz wpływ był za słaby wobec zepsucia, jakie wówczas panowało w

Syberji. Wszyscy mieszkańcy ówczesni byli to — z bardzo małemi wyjątkami — istni zbrodniarze, a pospolity złodziej liczył się jeszcze do rzędu najpocześniejszych ludzi. Życie wśród takich ludzi obmierzło nam — a straciwszy nadzieję powrotu do kraju, znienawidziwszy charakter, obyczaje, a nawet język Moskali, w kilkunastu umknęliśmy w lasy i tutaj naszą czysto polską założyli kolonję. Krajowcy: Ostjacy, Tunguzy, Juracy, Dolgany, Jakuci i inni, którzy czasami przebywają te tajgi, żyją z nami w zgodzie i jak my nienawidzą Moskali. Moskale wiedzą, że mamy naszą kolonję, ale gdzie? nie mogą nigdy dowiedzieć się dokładnie. Krajowcy nie zdradzają nas pewnie, bo wiedzą, że i my moglibyśmy odkryć niektóre ich tajemnice. Zresztą i oni nie wszyscy znają nasze siedziby. My niemal co roku bywamy po miastach, sprzedajemy sobole i inne futra kosztowne, zakupujemy co nam potrzeba niezbednie, zasięgamy wiadomości o kraju i — znowu do naszych lesistych wracamy siedzib. Moskale mają nas za Ostjaków. Często zmieniamy nasze siedziby. Już przyzwyczailiśmy się do takiego życia i — tak nam dobrze na świecie. Dawniej było nas więcej, dziś — osobiście z pierwszych założycieli — tylko mała pozostaje nas garstka. Umiemy i po moskiewsku i po ostjackska, między sobą jednak mówimy tylko po polsku i nie zmieniliśmy naszego wyznania. — Oto — kończył starzec — oto masz wszystko, co mogę powiedzieć. A teraz, teraz ty opowiadaj nieco o kraju i o nadziejach na przyszłość.

Lucjan opowiadał dość długo, mówił o walce ostatniej, o mordach i innych zbrodniach Moskali

i o powszechnem zniszczeniu wszystkich pod berłem caratu jęczących polskich prowincji.

Starzec go słuchał z uwagą i wielkiem współczuciem, bo nieraz kościstą swą rękę wsunął pod siatkę włosienną, by otrzeć łzy, które w ciągu opowiadania cisnęły się do oczu.

— Synu mój luby! — rzekł starzec, gdy Lucjan skończył opowiadanie. — Dawno, dawno już, dawno! nie spłynęła łza z mego oka. I ja pozostawiłem w kraju rodzinę, pozostawiłem matkę i braci i siostry i narzeczoną i — grób mego ojca, który w walce z Moskalami poległ na polu bitwy. Gdy popadłem w niewolę po strasznej wielkiego bohatera klęsce, gdy nas zawiadomiono, że pójdziemy w stepy sybirskie, — wówczas — wówczas — mówił żałośnie — wówczas — gdy wszystkie moje i kraju nadzieje zastąpione zwątpieniem, zniknęły i uleciały, jakby dymu kłęb, — wówczas — zapłakałem po raz ostatni! — Była to sroga, ciężkiej boleści chwila! — Odtąd — straciłem tkliwą wrażliwość i zda się, że wszystkie we mnie zamarły uczucia! Odtąd — jeżeli kiedykolwiek dobry spełniłem czyn — pełniłem go tylko z obowiązku, nie czując już tej przyjemności, nie czując już tej rozkoszy, jakiej dawnymi czasy doznawałem zawsze na widok tych, którzy mnie zawdzięczali swe szczęście. Od tylu lat — twoje miłe chłopcze opowiadania serdeczne — po raz pierwszy wywołały tak żywo drogłe przeszłości wspomnienia a z niemi i łzę z oka. Wszyscy moi opłakując zapewne mój zgon, może wymarli już dawno! Walecznego acz młodego niegdyś majora — mówił dalej zdejmując siatkę i okazując dwa wielkie

szramy na czole i twarzy — nikt już w zgrzybiałym nie poznałby starcu! Niktby nie przytulił do serca! A jednak — kończył powoli z wyrazem głębokiego smutku — a jednak — pragnąłbym złożyć mą głowę — na ojczystej ziemi!

Lucjan uszanował starca cierpienie, uczuł jego boleść głęboko, posmutniał z nim razem i nieśmiało zapytał po chwili:

— Ojciec mój dobry, czyliż dla ciebie niema już żadnej nadziei, ażeby urzeczywistnić twoje życzenie?

— Nie dla mnie, nie dla mnie mój synu — odpowiedział starzec — marzyć o przyszłości, nie dla mnie cieszyć się i łudzić powrotu nadzieją! Kto raz poprzysiągł nie ugnać kornie czoła przed wrogiem i błagać o litość lub łaskę, ten — straciwszy już liczbę przebytych tu lat — ten wierny swojej przysiędze, raczej w tajgach sybirskich dokończy swego żywota! Wszak i tu zresztą i w tych nieprzebytych tajgach wierni swemu powołaniu, sumiennie nasze spełniamy posłannictwo. Tu wpośród dzikie tajg tych plemiona, żaden nie dojdzie kapłan misjonarz — my zatem w miarę sił naszych, jedynymi ich jesteśmy apostołami. Ale — nagle zrywając się z ziemi zawołał starzec — jam z tobą gotów gwarzyć do nocy, a tobie spieszo i tam cię szukają.

— Jak to? — zapytał Lucjan — kto mię szuka mój ojciec i gdzie?

— Ja, — odpowiadając rzekł starzec, — gdybym był wiedział, że to ty, — mój złomek, — z drzewa odezwał się do mnie, byłbym jeszcze w nocy zaprowadził cię synu do twoich, sądząc jednak, że to

Moskał jaki, umknąłem co prędzej, bo my niechętnie ukazujemy się Moskałom. Moskale ocalisz, a on z wdzięczności zamorduje cię za to. Szkoda, — kończył szybkim obok Lucjana postępując już krokiem, — szkoda, że w nocy nie przyszło mi to na myśl, a tam w szalasie, — to rozpacz prawdziwa! Twoi towarzysze i Sybiracy po całej rozbiegli się tajdze, a panie w szalasie? Te biedne płaczą i rozpaczają, że aż żal ściska za serce!

— Pędzej, pędzej mój ojczu! — zawołał Lucjan przyspieszając kroku i dodał: — O czemuż, czemuż mój ojczu pierwej nie powiedziałeś mi tego? — To pewnie Jadwiga! Moja narzeczona z swą matką!

— Narzeczona? — pytając sędziwy powtórzył ziomek i dodał po chwili namysłu wstrzymując Lucjana, — w zastępstwie twojego ojca przyjmij odemnie błogosławieństwo serdeczne, a na wiano dla twojej przyszłej — sądząc z jej rozpaczny — zasnej małżonki, przyniosę ci jutro wieczorem kilka skór lisich na futro i kilka soboli na kołnierz.

— Ależ ojczu mój dobry! — zawołał Lucjan wzruszony jego dobrocią, — jam winien ci życie! Błogosławieństwo przyjmuję z wdzięcznością, ale co do skór lisich i soboli, tego — tego pod żadnym —

— Cicho! — przerwał mu starzec pocelwiy i prostując się po wojskowemu dodał w połowie żartem a w połowie serjo: — Karność! Posłuszeństwo! Aćpan porucznik, a jam w armji behatera świata, służył — majerem!... Słuchać i — nie sprzeciwiać się! Przedewszystkiem subordynacja!

Lucjan ujęty szczerością ofiary, wyprostował się także, salutował do swojego kepi, potem ujął

dłoń starego majora i z wyrazem poważania podziękował uprzejmie.

— No! Tak lubię! — rzekł major i pochwyciwszy Lucjana w swe silne ramiona, serdecznie przytulił do piersi i przez siatkę pocałował w czoło, a zrobiwszy nad głową jego znak krzyża świętego, pociągnął za rękę i do spiesznego wezwał pochodu.

— Ztąd — po chwili stary odezwał się major — już niedaleko. Patrz! — mówił ukazując mu palcem długie lecz wązkie pasmo zielonej łączki ogołoconej z drzew — to główny szlak, ten po kilkunastu minutach zaprowadzi cię wprost do szałasów. Ja tam przyjdę po chwili, ale — nie przyznawaj się do mnie. Powiedz tylko moskalom, że jakiś Ostjak doprowadził cię tutaj. A teraz — kończył starzec zdejmując siatkę i serdecznie całując Lucjana — Niechaj Bóg czuwa nad tobą i w dalszej przyszłości prowadzi szczęśliwie! Bywaj mi zdrów. Do widzenia — do jutra!

W kilka minut później — Lucjan był już w szałasie. Jadwiga powitała go ze łzami radości i wyrazem niewysłowionego szczęścia.

Gdy wszyscy serdecznie witali Lucjana gdy Jadwiga i pani H. rozplakała się także z radości przystąpił do Lucjana, wiejski starszyzna (wójt) i także witając go szczerze, jakiś opieczętowany wręczył mu papier. Było to spełnienie aktu ślubu Lucjana z Jadwigą, rz. kat. kapłan przybędzie do Aczyńska.

— O Boże, mój Boże! — zawołał Lucjan od czytawszy zawiadomienie sprawnika i dodał z wyrazem najwyższej wdzięczności — Jakżeś ty dobry! jakże łaskawy!

Po godzinie — gdy cały orszak ochoczo i gwar-
no wzruszył z szalasu, poważna postać starego ma-
jora przemęła pomiędzy drzewy.

— Patrz! patrz! — szepnął Lucjan Jadwidze
na ucho — Patrz — to mój zbawca! Były major
wojsk polskich! Jemu nawdzięczam moje ocalenie!

Sędziwy starzec wyprzedziwszy wszystkich o
kilkanaście kroków, zatrzymał się w lesie przy łącz-
ce, włosienną siatkę zdjął z głowy, założył ręce na
piersi i patrząc na przejeżdżających z wyrazem tę-
sknoty, rzucił im ręką pożegnalne skinienie. A gdy
Lucjan i Jadwiga serdeczne swemu zbawcy przesła-
li spojrzenie, łza wielka, jak perła, spłynęła mu z
oka, odwrócił się i wkrótce wśród tajgi zniknął im
z oczu.

W kilka dni później — na drodze z Kaczetatu
do Aczyńska — głos dzwonek rozlegał się daleko
po tajdze. Kilka tarantasów zaprzężonych trójkami
toczyło się szybko po drodze. W pierwszym siedzia-
ły: pani H., Jadwiga, Lucjan i jego przyjaciel M.
Obok tarantasa cwałowało kono kilku dzielnych
młodzieńców, towarzyszków wygnania.

W każdej wiosce przyłączał się jeszcze jeden
albo dwa tarantasy i tym sposobem coraz bardziej
powiększany orszak pędził wesoło, szybko i głośno,
gwarno i śpiewno — wprost do Aczyńska — na
ślub Jadwigi i Lucjana.

W Krakowie 7 sierpnia 1870.

F. M. Władysław Czaplicki.

Autor „Czarnej księgi“.

